

JACKIE STEVENS

O JEDNĄ ZA DUŻO

Szesnaście miesięcy później

Nie! To niemożliwe! To po prostu niemożliwe! Naomi, słysząc okrzyki swojej współlokatorki, podskoczyła na krześle.

- Cholera! - zaklęła, kiedy zobaczyła w lustrze, że ten nieopatrzny ruch zniszczył jej dzieło. Pięć minut mozolnego wysiłku, który miał sprawić, że jej rzęsy będą jedwabście czarne i dłuższe niż w rzeczywistości, a jednocześnie nieposklejane, i wszystko na marne! Pospiesznie chwyciła wacik, zwilżyła go lekko i zaczęła ostrożnie wycierać górną powiekę prawego oka, próbując ratować, co się da.

Jej zabiegi odniosły wręcz odwrotny skutek; nie dość, że nie udało jej się usunąć z powieki tuszu, to zrujnowała swoje wcześniej wykonane arcydzieło, z którego była tak dumna. Rzadko się malowała, ale dzisiejszy dzień był szczególny - pierwsza impreza w college'u. Takie wyjście wymagało zdecydowanie czegoś więcej niż błyszczka, w biegu nałożonego na usta. Nigdy nie używała cieni, lecz na tę okazję kupiła sobie cały zestaw i spędziła ponad kwadrans na malowaniu powiek. Choć użyła kilku odcieni - od jasnej metalicznej szarości po ciemny grafit - o dziwo, wcale nie wyglądała na dziewczynę, która, przewracając się, upadła twarzą na pudełko z kosmetykami.

Całkiem nieźle jak na pierwszy raz, pomyślała, oceniając rezultat, po czym sięgnęła po tusz, przekonana, że po czymś takim pomalowanie rzęs będzie małym piwem. A tu proszę. Jeszcze raz spojrzała na swoje zrujnowane dzieło, i już otwierała usta, żeby znów zakląć, tym razem znacznie bardziej niecenzuralnie, lecz zdusiła w ustach przekleństwo. Oderwała wzrok od swojego żalosego odbicia w lustrze i odwróciła się. Z pokoju dobiegał podniesiony głos jej przyjaciółki i współlokatorki w jednej osobie:

- O Boże, to nie może być prawda! Nie wierzę, po prostu nie wierzę!

Naomi знаła ją od wieków. Obie pochodziły ze Springfield w Nowej Anglii, razem chodziły do podstawówki i liceum, a potem dostały się do tego samego college'u i zamieszkały w jednym pokoju. Były najlepszymi przyjaciółkami, a ich przyjaźni nie zachwiała nawet pewna historia sprzed półtora roku, historia z rodzaju tych, po których większość dziewcząt nigdy więcej nie odezwałaby się do siebie ani słowem. One tymczasem wciąż były sobie bliskie, może nawet bliższe niż kiedyś, zanim wydarzyło się to, o czym dzisiaj w ogóle już nie mówiły, a jeśli im się to przytrafiało, to tylko ze śmiechem.

Znała przyjaciółkę jak własną kieszeń, a może nawet lepiej. Barbara nie należała do ludzi przesadnie okazujących emocje; szczerze mówiąc, była jedną z bardziej powściągliwych osób, jakie Naomi udało się spotkać.

- Ja chyba śnię! - Euforia w głosie Barbary graniczyła z egzaltacją.

Naomi jeszcze raz smętnie spojrziała w lustro i wyszła z łazienki, żeby się dowiedzieć, co tak poruszyło jej przyjaciółkę.

Barbara stała przy biurku, odwrócona do niej plecami. Na podłodze, u jej stóp, leżały dwie rozerwane koperty - jedna większa, szara, druga biała. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że nie jest w pokoju sama.

Odwróciła się, zerknęła nieprzytomnym spojrzeniem na przyjaciółkę, która zatrzymała się w progu, a potem pełnym niedowierzania wzrokiem wpatrywała się w trzymaną w rękę kartkę.

Podniecenie, które Naomi przed chwilą słyszała w jej uniesionym głosie, teraz malowało się na twarzy Barbary.

Naomi odetchnęła z ulgą. Nie miała pojęcia, o co chodzi, ale jednego mogła być pewna - jej przyjaciółce nie przytrafiło się nic złego. Ludzie, których spotyka jakieś nieszczęście, nie uśmiechają się w ten sposób, a ich oczy nie promieniają taką radością. Tak zachowuje się ktoś, kto właśnie się dowiedział, że wygrał milion na loterii, chłopak, który dostał na osiemnaste urodziny swojego wymarzonego firebirda albo dziewczyna, którą przed chwilą poprosił o rękę Keanu Reevesa we własnej osobie.

- Powiedz mi, że to nie żart - odezwała się Barbara, na chwilę unosząc wzrok.

- Mogłabyś być trochę bardziej precyzyjna?

- To. - Ruchem głowy wskazała na kartkę. - Naprawdę dali ci to na portierni?

Naomi dopiero po dłuższej chwili domyśliła się, że chodzi o kopertę, którą przyniosła do pokoju, wracając z popołudniowych zajęć. Rozpoznała na niej charakter pisma matki Barbary. W ciągu ostatniego miesiąca, to znaczy od kiedy poszły do college'u i zamieszkały na terenie kampusu, już kilka razy przychodziły takie koperty. Pani Morrisson przesyłała w nich adresowaną na córkę korespondencję.

- A niby skąd miałabym ją wziąć? - rzuciła Naomi, wzruszając ramionami.

- Czy ja wiem? Może ktoś zrobił mi głupi dowcip...? - Uśmiech znikł z twarzy Barbary, a oczy trochę przygasły.

Naomi podeszła do biurka, schyliła się i podniosła kopertę. Zanim pokazała ją przyjaciółce, popatrzyła na adres. Nie miała żadnych wątpliwości, że wyszedł spod ręki pani Morrisson.

Nigdy nie mogła się nadziwić, że można pisać z takimi zakrętasami.

- Jeśli to dowcip, to jedyną osobą, która mogłaby ci go zrobić, jest chyba twoja matka.

- Masz rację - przyznała Barbara. Jej twarz znów promieniała szczęściem. - Nie, mama nigdy nie zrobiłaby mi czegoś tak głupiego - powiedziała, kiwając głową. - Poza tym... -

przerwała i dopiero po chwili dokończyła niepewnym głosem - ona o niczym nie wiedziała.

- O czym nie wiedziała? - Coś w zachowaniu przyjaciółki wzbudziło czujność Naomi, powtórzyła więc pytanie: - O czym nie wiedziała twoja matka.

- O tym - odparła cicho Barbara, podsuwając jej kartkę.

Naomi najpierw zwróciła uwagę na nagłówek firmowego papieru, widniała bowiem na nim nazwa jednego z najbardziej popularnych wydawnictw w Stanach Zjednoczonych. Potem zaczęła czytać.

Droga Barbaro,

Jestem od kilku miesięcy redaktorką w Dziale Beletrystyki dla Młodzieży i dopiero od paru dni głowa zaczyna mi wystawać ponad górę maszynopisów, które zostawiła mi do przejrzania i oceny moja poprzedniczka. Przed tygodniem przeczytałam tekst przesłany przez Ciebie. Wydał mi się godny uwagi. Dla pewności dałam go jeszcze do przejrzania swojemu przełożonemu, a ten w pełni podzielił moje zdanie, że napisana przez Ciebie minipowieść zasługuje na to, żeby ją wydać. Przed chwilą spojrzałam na list, który dołączyłaś do wydruku, i z pewnym niepokojem stwierdziłam, że od czasu, kiedy został do nas przesłany, minął prawie rok. Mimo to, mając nadzieję, że nie jesteś jeszcze związana z innym wydawnictwem, proszę o email lub kontakt telefoniczny pod podanym niżej numerem w sprawie ustalenia warunków umowy oraz omówienia ewentualnych poprawek w tekście.

Pozdrawiam Cathy Saphiro

Naomi podniosła wzrok znad kartki i spojrzała na przyjaciółkę. - Napisałaś książkę? - zapytała z niedowierzaniem.

Barbara z ociąganiem skinęła głową. Minę miała przy tym taką, jakby się przyznawała do popełnienia przestępstwa, za które dożywocie jest i tak bardzo łagodnym wymiarem kary. Naomi już miała na końcu języka „I nic mi o tym nie powiedziałaś?”, ale się powstrzymała. Przyjdzie jeszcze czas na wyrzuty. Na razie była pora na coś zupełnie innego. Przepelniała ją taka radość, jakby tego samego dnia wygrała milion na loterii, dostała w prezencie firebirda - choć szczerze mówiąc nie rozumiała zachwyty chłopaków nad tymi ryczącymi maszynami, ona osobiście wolałaby czerwonego volkswagena garbusa - a na dodatek Keanu Reeves poprosił ją o rękę. Co do tego ostatniego też miała pewne zastrzeżenia - gdyby to od niej zależało, zamieniłaby Keanu Reevesa na swojego chłopaka Warrena. Ale bez wchodzenia w szczegóły, radość była mniej więcej taka.

I fakt, że to nie ona napisała książkę, którą zamierzało wydać jedno z większych wydawnictw w kraju, tylko Barbara, wcale nie tłumili tego poczucia nieopisanego szczęścia, które wzbierało w niej coraz bardziej, aż wreszcie znalazło ujście w donośnym okrzyku:

- Hura! Jestem przyjaciółką znanej pisarki.

- Przestań - odezwała się speszona Barbara. - Nie jestem żadną pisarką.

- Jak to nie jesteś? Przecież napisałaś tę książkę.

- Owszem, napisałam, ale to jeszcze nie czyni ze mnie pisarki, a już na pewno nie znanej pisarki. Wiesz, ilu ludzi w Stanach Zjednoczonych napisało książki? Co drugi uczestnik kursów kreatywnego pisarstwa płodzi jakieś wycociny.

- Być może, tylko że tych wycocin nikt nie chce wydawać, a twoja książka ukaże się w druku.

- Nie wiem, czy się ukaże - powiedziała Barbara.

- Przecież ta cała... - Naomi zerknęła na list i przeczytała nazwisko redaktorki - Cathy Saphiro pisze wyraźnie, że chcą z tobą podpisać umowę. - Nie powiesz mi chyba, że dalej uważasz ten list za jakiś głupi kawał.

- Nie, nie o to mi chodzi.

- No to o co? Boisz się, że tamci w wydawnictwie się rozmyślą? To są chyba poważni ludzie i wydaje mi się, że skoro proponują ci podpisanie umowy, to raczej nie po to, żeby w ostatniej chwili się wycofać.

- Pewnie masz rację - odparła Barbara.

Naomi dopiero teraz zorientowała się, że przyjaciółka omija ją wzrokiem, a z jej twarzy na dobre znikły ślady radości.

- Więc w czym widzisz problem? - zapytała, nie kryjąc irytacji.

Wiedziała, że są ludzie, którzy we wszystkim, co spotyka ich w życiu, doszukują się ciemnych stron. Wygra taki na loterii milion dolarów i nie może spać po nocach, bo musi zapłacić podatek. Albo wybiera się na swoje wymarzone wakacje i myśli tylko o tym, że samoloty czasami spadają, a ostatnio nie było żadnej wielkiej katastrofy lotniczej, więc z rachunku prawdopodobieństwa wynika... I tak dalej, i tak dalej. Tacy ludzie po prostu nie potrafią się cieszyć. Naomi nigdy nie pomyślała, że właśnie taka jest jej najlepsza przyjaciółka. Teraz przemknęło jej to przez głowę, ale kiedy przyjrzała jej się uważnie, zrozumiała, że za zachowaniem Barbary kryje się coś innego niż patologiczny pesymizm.

- Powiedz mi, proszę - odezwała się już znacznie łagodniej - o co tak naprawdę chodzi.

- O to, że nie jestem pewna, czy chcę, żeby ta książka ukazała się w druku.

- To po co wysyłałaś ją do wydawnictwa?

Barbara wreszcie znów się uśmiechnęła. Nie był to wprawdzie uśmiech, którym mogłaby kogokolwiek zarazić, ale zawsze to lepsze niż ponura mina.

- To było przed rokiem. Poza tym nie wierzyłam, że zaproponują mi wydanie jej.

- Musiałaś mieć nadzieję - nie dawała za wygraną Naomi. - Inaczej byś jej nie wysłała.

Jej przyjaciółka wzruszyła ramionami, a ona uświadomiła sobie, że problem tego, czy Barbara, wysyłając swój tekst, miała nadzieję, że zostanie wydany, czy nie, nie jest najważniejszy.

O wiele istotniejsza była odpowiedź na pytanie, dlaczego teraz się waha, czy powinien zostać opublikowany.

- W porządku - rzuciła. - Nieważne, co myślałaś rok temu. Powiedz mi tylko, dlaczego teraz nie chcesz, żeby ją wydali.

- Bo... bo...

- No, wyduś to z siebie wreszcie - Naomi ponagliła przyjaciółkę.

- Bo obawiam się, że mogłabym kogoś urazić. - Barbara przestała uciekać przed nią wzrokiem i po raz pierwszy od dłuższego czasu popatrzyła jej w oczy.

Naomi знаła ją zbyt długo, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

- Mnie?! - Zaskoczona, podniosła głos prawie do krzyku, ale natychmiast się opanowała i dodała już znacznie ciszej: - Boisz się, że mnie urazisz? Czym?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie wie rzeczy najważniejszej: o czym jest książka. Mógł to być kryminał, powieść sensacyjna albo s.f. Ale równie dobrze Barbara mogła opisać jakąś prawdziwą historię, nadając jej formę fikcji literackiej.

Kolejne pytanie nasunęło się samo:

- Czy ja jestem w twojej książce?

Barbara przytaknęła.

- Napisałaś o mnie książkę?! - Naomi nie mogła w to uwierzyć.

- Niezupełnie o tobie - odparła jej przyjaciółka prawie szeptem.

- O nas? To znaczy o tobie i o mnie...?

Barbara potwierdziła nieznacznym ruchem głowy.

- I o Seanie - dokończyła Naomi.

- I co w niej jest takiego, że mogłabym się obrazić? Napisałaś o mnie jakieś okropne rzeczy?

Że jestem wredna albo głupia, albo brzydka?

- Coś ty! Nic z tych rzeczy.

- Nie napisałaś chyba, że jem psie herbatniki, kiedy jestem zdenerwowana. Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś.

Barbara uśmiechnęła się.

- Nie, ale jeśli mam być szczerą, to muszę się przyznać, że miałam na to ochotę, i to wielką.

- Twoje szczęście, że się powstrzymałaś. Nie zniósłabym, gdyby wszyscy się dowiedzieli, że Naomi Gladestone ze Springfield w Nowej Anglii je psie herbatniki. Czegoś takiego nie wybaczyłabym ci nigdy. Twarz Barbary rozpogodziła się.

- Nie nazywaś się Naomi Gladestone, tylko Sharon Parker. Pozmieniałam wszystkie imiona i nazwiska.

- Hm... Sharon może być, ale Parker...? Wolałabym chyba Stone... Albo nie! Barnes! Sharon Barnes... Brzmi nieźle, prawda?

Warren, chłopak Naomi, którego poznała pierwszego dnia pobytu na kampusie, nazywał się Barnes.

- Wtedy, kiedy to pisałam, ani ty, ani ja nie wiedziałyśmy jeszcze, że ktoś taki jak Warren Barnes w ogóle istnieje. Poza tym nie jestem pewna, czy Sharon Barnes rzeczywiście tak dobrze brzmi. W każdym razie na pewno gorzej niż Naomi Barnes.

Naomi rozpromieniła się, ale po chwili przywołała na twarz wyraz udawanej srogości.

- Dobra, dobra, nie zbaczaaj z tematu. Skoro nie napisałaś, że jestem wstrętą, głupią i brzydka ani że jem psie herbatniki, to, na miłość boską, co tam takiego jest w tej twojej książce?

Nakłamałaś w niej?

- Nie. - Barbara zastanawiała się przez chwilę, a potem powtórzyła pewniejszym już głosem: - Nie. Ale niektóre rzeczy mogłam odbierać inaczej niż ty. Ja sama z perspektywy czasu widzę je trochę inaczej. Naomi, pisałam o uczuciach, moich, twoich i Seana. Niektórzy nie lubią, jak się rozgrzebuje takie sprawy. I chcę, żebyś wiedziała jedno. Jeśli tylko będziesz miała jakieś zastrzeżenia, jakiegokolwiek, nie podpiszę żadnej umowy i nikt nigdy tej książki nie przeczyta.

- Żartujesz!

- Nie, mówię zupełnie poważnie. Nie zrobiłabym czegoś, co mogłoby zniszczyć naszą przyjaźń.

- Myślisz, że po tym, co było, coś mogłoby ją zniszczyć? Coś poza tym, że podałybyś do publicznej wiadomości, że jem psie herbatniki?

- Chyba nie. Mimo to wolałabym nie ryzykować.

- Jezu - westchnęła ze zniecierpliwieniem Naomi. - Nie uważasz, że to, co teraz robimy, jest zwykłym biciem piany. Masz tę książkę na dysku? - spytała, wskazując komputer.

- Tak, ale mam również wydruk.

- To na co ty czekasz? Dawaj mi ją, i to już!

Barbara podeszła do regału i wyjęła z wielkiego stosu czerwoną teczkę. Już chciała ją podać przyjaciółce, ale powstrzymała się i z powrotem położyła ją na półce.

- Nie będziesz chyba tego teraz czytać?

- Pewnie, że będę.

- Naomi, za godzinę z kawalkiem mamy być na imprezie. - Barbara przyjrzała się jej twarzy. - A ty... nie obraż się, ale nie wyglądasz najlepiej.

- Co jest ze mną nie tak? - Naomi zdążyła już zapomnieć o rozmazanych powiekach, a kiedy przyjaciółka przypomniała jej o tym, wskazując na oczy, lekceważąco machnęła ręką. - Ach, czepiasz się - rzuciła.

Podeszła do regału, wzięła czerwoną teczkę, niedbałym ruchem zrzuciła z łóżka na podłogę ubrania, które wcześniej starannie przygotowała na dzisiejszy wieczór, i usadowiła się wygodnie.

- Na takich imprezach przez pierwsze dwie godziny i tak zawsze jest nudno, więc nie stracimy - powiedziała, otwierając teczkę.

Barbara Morrison

Proponowane tytuły:

1. *"Nigdy nie mów nigdy"*

(Wydaje mi się najlepszy, ale raczej nie można go użyć. Sprawdziłam w Internecie i dowiedziałam się, że po pierwsze, tak się nazywał któryś z Bondów, a po drugie jest już taka książka. Napisała ją niejaka Jackie Stevens).

2. *"Trzeba zabić tę miłość"*

(Grafomański, brzmi trochę, jak tytuł brazylijskiego serialu).

3. *"Trudny wybór"*

(Chyba bardziej by się nadawał na nazwę talk - show).

4. *"Ich troje"*

(Banalny)

Poza tym pierwszym nie jestem zachwycona żadnym z tych tytułów. A propos, nienawidzę tej Jackie Stevens za to, że mi go ukradła.

1

Proszę, Amy, proszę, proszę, proszę... Słuchałam tego już od pięciu minut, od chwili, kiedy wyprowadziłam siostrę ze szkoły baletowej i zobaczyła, że spadł śnieg - pierwszy tego roku.

- Powiedziałam ci już, że ten śnieg jest za świeży, nie nadaje się do jeżdżenia na sankach - tłumaczyłam jej po raz kolejny, powoli tracąc cierpliwość. - Poza tym jest go jeszcze za mało. - Nieprawda! - zaprotestowała i żeby udowodnić, że to ona ma rację, wyrwała dłoń z mojej ręki i zbiegła z chodnika na trawnik pokryty grubą białą czapą.

Śnieg sięgał jej do połowy łydki i wciąż prószył. Straciłam jeden argument, ale jeszcze nie dawałam za wygraną.

- Mama prosiła, żebym prosto ze szkoły przyprowadziła cię do domu. Nic nie wspominała o żadnych sankach.

- Bo przecież nie wiedziała, że będzie padać.

Nie bądź taką mądralą, chciałam jej powiedzieć, ale wiedziałam, że od razu poszłaby z tym do matki, a ta palnęłaby mi wykład o tym, że sześciolatnie dziecko jest takim samym człowiekiem jak każdy inny - czasami miałam wątpliwości, czy w ogóle jest człowiekiem - i nie można go traktować z lekceważeniem.

- Zapytamy mamy i jeśli pozwoli, to pójdziemy jutro - powiedziałam. - Do jutra śnieg może stopnieć.

Już chciałam ją zapewnić, że nie, skądże, będzie go jeszcze więcej, lecz pomyślałam, że może mieć rację. Z pierwszym śniegiem często tak bywa - prószy tak, że wszystko wokół jest białe, a kiedy się człowiek budzi nazajutrz, nie ma po nim ani śladu, a na następny trzeba czekać nieraz kilka tygodni.

- Proszę, Amy, proszę, proszę... - Szarpiąc mnie za rękaw, zaczęła znów powtarzać swoją śpiewkę.

- Dobrze, ale tylko na pół godziny - zgodziłam się dla świętego spokoju. - I potem będziesz się bawić w swoim pokoju, a mnie dasz się zająć własnymi sprawami - dodałam.

Mama miała wrócić dopiero po dziewiątej, a ojciec koło północy, na mnie spadał więc obowiązek zajmowania się Pat. Pół godziny na sankach za święty spokój przez resztę wieczoru - czułam, że ubiłam świetny interes.

Żeby szybciej mieć za sobą tę pierwszą część, przyspieszyłam kroku i po pięciu minutach byliśmy w domu. Znalazłam w szafie w pokoju siostry ubrania, które bardziej

nadawały się na wyprawę na sanki niż to, co miała na sobie.

- Przebierz się - poleciłam jej. - Ja tymczasem pójde poszukać w piwnicy sanek.

- A podwieczorek?

- Zjesz, jak wrócimy.

- Jestem głodna - oznajmiła, a ja zdusiłam zniecierpliwione westchnienie w obawie, że usłyszę potem i jak to głodzę młodszą siostrę.

Pat na szczęście zadowolila się jogurtem i koprami i kwadrans później wyszliśmy z domu.

Spojrzałam na zegarek i pomyślałam z radością, że pięć po szóstej będę miała upragniony spokój. Dopiero kiedy dotarliśmy do pierwszego skrzyżowania i skręciłam w lewo, okazało się, że się myliłam.

- Nie w tę stronę! - krzyknęła Pat, którą ciągnęłam na sankach.

Uznałam, że nie będę się jej sprzeciwiać; skoro miałam ją i tak przez pół godziny wozic na sankach, było mi zupełnie obojętne, czy pójde w prawo, lewo, czy przed siebie. Odwróciłam się i chciałam ruszyć w przeciwnym kierunku, ale zobaczyłam, że chodnik po przeciwnej stronie skrzyżowania jest odśnieżony.

- Nie, Pat, tam będzie mi trudno ciągnąć sanki.

- Ale do parku idzie się tamtędy.

W jednej sekundzie przejrzałam jej plan. Kiedy wychodziłam z domu, przemknęło mi przez głowę, że to dziwne, iż Pat nie domaga się, bym pokazała jej na zegarku, w którym miejscu będą obie wskazówki, kiedy upłynie jej pół godziny. Zawsze tak robiła i powinnam była się domyślić, że odliczanie czasu wcale się jeszcze nie zaczęło. Zamierzała je rozpocząć, gdy znajdziemy się w parku.

- Mowy nie ma - zaprotestowałam ostro. - Do parku jest tak daleko, że kiedy tam dotrzemy, minie twoje pół godziny.

- Z tatą zawsze tam chodziłam na sanki.

- Z tatą możesz sobie chodzić, ale ze mną nie - odpaliłam. - W każdym razie nie dzisiaj.

- Dlaczego nie?

- Bo nie. - Już słyszałam słowa matki: „Nie, bo nie” nie jest odpowiedzią, którą ktokolwiek może zaakceptować, również małe dziecko. Moja mama jest psychoterapeutką; nie pracuje wprawdzie z dziećmi, ale często powtarza, że gdyby dzieci były w domach właściwie traktowane, co najmniej połowa psychoterapeutów musiałaby, z braku pacjentów, zmienić zawód.

Może to i prawda, pomyślałam, ale niemożliwe, żeby jedno „Nie, bo nie” do tego stopnia wpłynęło na osobowość mojej siostry, że musiałaby w przyszłości korzystać z pomocy psychologa. A nawet jeśli, to w końcu nie taka wielka tragedia.

- Ale dlaczego nie?

- Bo nie.

- Ale dlaczego?

Stałam tam, przy skrzyżowaniu, i rozważałam, co mi się bardziej opłaca: powtarzać w nieskończoność „Nie, bo nie”, wymyślać kolejne argumenty, na które ona znajdzie, oczywiście, kontrargumenty, czy po prostu pójść z nią do tego cholernego parku.

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw doszłam do wniosku, że jeśli tego wieczoru chcę mieć choć chwilę czasu dla siebie, muszę wybrać tę trzecią drogę.

Park zupełnie opustoszał. Ci nieliczni spacerowicze, których widziałam, kiedy tu dotarliśmy, dawno już poszli do ciepłych domów, a ja marzyłam tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju.

Podczas gdy Pat zjeżdżała z górki, stałam, przytupując i na zmianę to zerkając na zegarek, to chuchając w dłonie. Przypilnowałam, żeby siostra była odpowiednio ubrana, ale zupełnie nie pomyślałam o swoim stroju. Na nogach miałam sportowe buty sięgające tylko do kostki i nie przyszło mi do głowy, by wziąć rękawiczki, czapkę i szalik.

Chwilę wcześniej zaproponowałam siostrze, że będę jej wciągać na górę sanki, nie oszukując się przy tym, że robię to z altruistycznych pobudek. Chciałam się po prostu trochę rozgrzać. Pat zrezygnowała, niestety, z mojej pomocy, rzucając swoje: - Ja sama.

- W porządku! - zawołałam za nią, chuchając na skostniałe z zimna dłonie. - Pat, zostało ci jeszcze tylko pięć minut!

Nie uwierzyła mi na słowo, zostawiła sanki i przybiegła do mnie, żeby przekonać się o tym na własne oczy.

- Zobacz - powiedziałam, podsuwając jej pod nos zegarek.

Widziałam po jej buzi, że zastanawia się, czy uda jej się wytargować dodatkowych kilka minut, ale zmierzyłam ją takim wzrokiem, że nawet nie próbowała.

- To zjadę jeszcze z tej dużej górki - oznajmiła i po chwili ciągnęła już sanki w stronę większego wzniesienia.

- Ale tylko raz! - krzyknęłam, podążając za nią wolnym krokiem. Stopy tak mi przemarzły, że straciłam czucie w palcach.

- Tylko raz! - Była już tak daleko, że ledwie usłyszałam jej odpowiedź.

Kiedy, brnąc w śniegu, dotarłam do wzniesienia, Pat wspięła się już na samą górę. Oceeniłam wzrokiem wysokość i poczułam lekki niepokój - wydała mi się trochę za duża, jak na sześciolatniego dzieciaka - ale strach ogarnął mnie dopiero wtedy, gdy ujrzałam ceglany, wysoki na ponad metr murek, zasłaniający pojemniki na śmieci, który stał przy parkowej alejce, nie dalej niż dziesięć metrów od podnóża wzniesienia.

- Uważaj na ten murek! - wrzasnęłam ile sił w płucach. - Zjeżdżaj w moją stronę!

Ale mnie nie słyszała; zanim zdążyłam zamknąć usta, siedziała na sankach, a po chwili zjeżdżała już w dół. I to nie w moją stronę...

Zamarłam z przerażenia, ale sekundę później ruszyłam biegiem w stronę murku.

Kątem oka widziałam, jak sanki nabierają prędkości. Pat była już w połowie wzniesienia, a ja miałam jeszcze do pokonania co najmniej trzydzieści metrów. Słyszałam jej radosny okrzyk. Nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa; nie wiedziała, że nie uda jej się wyhamować.

Dla mnie było to jasne jak słońce. - Pat, uważaj! - chciałam zawołać, lecz z moich ust wydobył się tylko zdławiony jęk. Zresztą nawet gdyby mnie usłyszała, i tak nie mogłaby już nic zrobić.

Ale ja mogłam. Mogłam stanąć na jej drodze i uchronić ją przed zderzeniem z ceglany murem. I prawdopodobnie udałoby się, gdybym się nie przewróciła, zahaczywszy nogą o leżącą na ziemi, zakrytą śniegiem gałąź.

Podniosłam się natychmiast. Było już jednak za późno. Zanim zdążyłam zetrzeć z twarzy śnieg i cokolwiek zobaczyć, usłyszałam jednocześnie krzyk mojej siostry, trzask łamanego drewna i jeszcze inny dźwięk, nie tak głośny jak te dwa pozostałe, ale budzący znacznie większą grozę.

Zdałam sobie sprawę, że nie stało się to, na co miałam nadzieję - Pat nie spadła z sanek ani też nie udało jej z nich zeskoczyć, zanim z impetem wpadły na twardą przeszkodę. Ten trzeci dźwięk to był odgłos uderzenia jej ciała o mur.

Krzyczała przeraźliwie, a ja w czasie tych paru sekund, które zajęło mi pokonanie dzielących nas metrów, myślałam, że to dobrze, że krzyczy. O wiele bardziej przerażałoby mnie jej milczenie.

Leżała na boku, w nienaturalnie wykrzywionej pozycji; obie dłonie przyciskała do twarzy.

- Pat, powiedz mi, co cię boli? - spytałam, opadając przy niej na kolana.

Było już całkiem ciemno, a najbliższa z latami ustawionych wzdłuż parkowych alejek stała na tyle daleko, że dawała tylko nikłe światło. Wystarczyło jednak, by zobaczyć, że spomiędzy palców mojej siostry, które cały czas trzymała na twarzy, wycieka krew.

- To boli, okropnie boli - wyjęczała, kiedy spróbowałam ująć je lekko i oderwać od jej buzi, i przycisnęła je jeszcze mocniej.

- Wiem - powiedziałam. - Ale muszę to zrobić. Muszę zobaczyć, co ci się stało. Obiecuję, że postaram się to zrobić najdelikatniej, jak potrafię.

W poprzednim roku szkolnym chodziłam na kurs pierwszej pomocy; teraz uświadomiłam sobie, że wyleciało mi z głowy wszystko, czego się na nim nauczyłam.

W końcu z trudem udało mi się odsłonić jej twarz i natychmiast pożałowałam, że to zrobiłam.

Miała całą buzię zalaną krwią. Krew, zmieszana ze łzami, spływała po jej jasnych

włosach i wsiąkała w śnieg, na którym po chwili utworzyła się plama.

Drżącymi palcami wydobylałam z kieszeni kurtki paczkę chusteczek higienicznych i zaczęłam wycierać twarz siostry, żeby zlokalizować miejsce rany. Nie wiedziałam, czy jest jedna, czy więcej.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam, że z oczami wszystko jest w porządku. Nie dostrzegłam żadnych skaleczeń na brodzie, nosie i policzkach. Dopiero kiedy dotknęłam czoła, Pat przeraźliwie krzyknęła.

- Przepraszam, wiem, że to boli, ale naprawdę muszę to zrobić - powiedziałam, głaskając ją po głowie.

Plama na śniegu była coraz większa. Musiałam szybko zdecydować, co robić. Zostały mi już tylko dwie chusteczki i nic poza tym. Nic poza mnóstwem śniegu. Chwyciłam pełną garść i przyłożyłam do czoła Pat.

Podziałało szybciej, niż się tego spodziewałam. Krew przestała cieknąć tak obficie, mimo to moja siostra wciąż jęczała z bólu.

- Boli cię główka? - spytałam.

- Tak, ale noga jeszcze bardziej - odparła, łkając.

Była urodzoną artystką, dosyć szybko odkryła, co można osiągnąć, umiejętnie wykorzystując łzy, i potrafiła płakać na zawołanie. Teraz jednak była jednym wielkim bólem. Cierpienie słycać było w jej głosie, wyzierało z oczu, wychodziło każdym porcem jej drobnego ciała.

- Która? - spytałam, patrząc na jej nogi. Już wcześniej dostrzegłam, że prawą stopę ma ułożoną pod dziwnym kątem do reszty kończyny, ale moją uwagę przyciągnęła krew na twarzy.

Zaczęłam wolno przesuwając dłoń po nodze od uda w dół.

- Powiesz mi, w którym miejscu, cię boli, dobrze?

Zanim zdążyłam zadać to pytanie, Pat wydała z siebie dźwięk przypominający okrzyk zranionego zwierzątka, a ja poczułam pod palcami - jakieś dziesięć centymetrów powyżej kostki, nienaturalne zgrubienie. Natychmiast cofnęłam dłoń.

- Druga noga też cię boli?

Nie odpowiedziała; z bólu z trudem łapała oddech.

Żeby nie narażać jej na jeszcze większe cierpienia, postanowiłam tamtej już nie sprawdzać.

Zresztą ta wiedza i tak do niczego nie mogła mi się przydać.

Mojej siostrze potrzebna była pomoc lekarza, a ja musiałam jak najszybciej wymyślić,

w jaki sposób jej ją zapewnić.

Odruchowo sięgnęłam po komórkę, ale zanim poczułam pustą kieszeń, przypomniałam sobie, że po przyjsciu ze szkoły nawet nie wyjęłam jej z plecaka.

Wokół nie było żywego ducha. Od jakiś piętnastu minut nikogo nie widziałam, więc prawdopodobieństwo, że nagle pojawi się ktoś, kogo mogłabym poprosić o pomoc, było raczej niewielkie. Park, duma naszego miasta, jest ogromny. Do Abeby Road, ulicy, którą tu przyszlęśmy, był dobry kilometr, ale równolegle do niej, po przeciwnej stronie parku, biegła Chester Avenue i droga do niej była co najmniej połowę krótsza.

Nie było się więc nad czym zastanawiać.

- Posłuchaj Pat, obejmij mnie mocno za szyję. Musimy dojść do ulicy.

- Ale mnie okropnie boli - poskarżyła się żałośnie.

- Wiem, i dlatego nie będziesz szła, tylko wezmę cię na rękę.

- Chcę do mamy - zakwiliła cichutko.

- Ja też - powiedziałam i była to szczerza prawda. - I właśnie dlatego, że obie chcemy do mamy, musimy dojść do drogi.

Pokiwała głową i bez słowa sprzeciwu zarzuciła mi rękę na szyję.

Brałam ją nieraz na rękę i zawsze wydawała mi się lekka jak piórko, lecz po pokonaniu pierwszych kilkudziesięciu kroków przemknęło mi przez głowę, że albo to jej grube przemoczone ubrania tyle ważą, albo ona ostatnio nabrała ciała. Z przerażeniem pomyślałam, że mam za sobą dopiero niewielki kawałek drogi. Sprawy nie ułatwiał mi także śnieg, który miejscami sięgał do połowy łydki i padał coraz mocniej, oraz to, że musiałam iść bardzo ostrożnie, ponieważ przy każdym gwałtowniejszym ruchu Pat krzyczała z bólu.

Byłam mniej więcej w połowie drogi, słyszałam już warkot silnika i widziałam światła samochodu przejeżdżającego właśnie Chester Avenue, kiedy stwierdziłam, że nie jestem już w stanie iść dalej. Wtedy zobaczyłam altanę, stojącą nieopodal. Jakimś cudem dowlokłam się do niej i położyłam Pat na drewnianej podłodze, w miejscu, w którym była na tyle osłonięta, że nie pokrywał jej śnieg.

Moja siostra wciąż pojękiwała, ale coraz ciszej, i zdawałam sobie sprawę, że dzieje się tak nie dlatego, że ustępuje ból, ale dlatego, że traci siły. Co gorsza, rana na czole ponownie zaczęła krwawić.

Zrobiłam okład ze śniegu i tym razem również poskutkował. Już chciałam ruszać dalej, kiedy zobaczyłam światła kolejnego samochodu jadącego Chester Avenue. Wydawał się tak blisko.

Gdybym nie musiała dźwigać Pat, dobiegłabym tam w dwie, trzy minuty i przy

szczęściu za pięć byłabym z powrotem.

Z jednej strony nie chciałam zostawić siostry samej, z drugiej rozsądek podpowiadał mi, że takie rozwiązanie byłoby najbardziej sensowne. W głowie zakolały mi słowa matki, która często powtarzała, że w krytycznych sytuacjach należy się kierować rozsądkiem, a nie emocjami.

W kilka sekund podjęłam decyzję.

Pochyliłam się nad siostrą i szepnęłam jej do ucha:

- Posłuchaj, Pat, zostawię cię teraz na kilka minut i pobiegnę po pomoc. Obiecuję, że zaraz wrócę.

Popatrzyła tylko na mnie i nic nie powiedziała.

- Nie będziesz się bała zostać tu sama?

Tym razem nie zareagowała w ogóle. Był to dla mnie sygnał, że nie mam chwili do stracenia.

Pocałowałam ją w oba poplamione krwią policzki i wybiegłam z altanki. Pędziłam najszybciej, jak mogłam. Wydawało mi się, że szybciej już się nie da.

Myliłam się, bo kiedy usłyszałam daleki warkot silnika, okazało się, że jednak mogłam.

Musiałam dobiec do drogi, zanim nadjedzie ten samochód. Na następny mogłam czekać zbyt długo.

Kiedy wpadłam na Chester Avenue, oślepiły mnie światła.

Usłyszałam pisk hamulców, wóz odbił gwałtownie, tak że wjechał na pas dla samochodów jadących z naprzeciwka, i jakieś dwadzieścia metrów dalej zatrzymał się.

Zwariowałaś?! - krzyknął kierowca, wyskoczywszy z samochodu. Albo z powodu prószącego śniegu, albo dlatego, że wciąż jeszcze byłam oślepiona, albo ze zdenerwowania wszystko docierało do mnie z opóźnieniem, w każdym razie nie rozpoznałam go.

Nie poznałam również jego głosu. W tym jednak nie było nic dziwnego. Nigdy bowiem dotąd nie słyszałam Dennisa Beckhama, chłopaka mojej najlepszej przyjaciółki Sharon, tak krzyczącego.

- Masz ochotę popełnić samobójstwo, to proszę bardzo! Ale następnym razem wybierz może coś takiego, co nie narażałoby innych! Może trudno ci to sobie wyobrazić, ale są tacy, którzy mają ochotę jeszcze pożyć! - zawołał i ruszył w moją stronę.

Ja tymczasem łapałam z trudem powietrze, zastanawiając się nad tym, co by się stało, gdybym wpadła pod samochód. Nie myślałam przy tym o sobie, tylko o tym, że nikt nie wiedziałby, że Pat leży w altanie, i zanim ktoś by się o tym dowiedział, zamarząłyby na śmierć, jeśli wcześniej nie wykrwawiłaby się.

- Potrzebuję... potrzebuję... - wysapałam tak cicho, że nie mógł mnie usłyszeć. On tymczasem zbliżył się do mnie na jakieś dziesięć metrów i stanął jak wryty. - Amy...? - zapytał z niedowierzaniem. - Co ty tutaj robisz? Śnieg sypał coraz mocniej. - Potrzebuję pomocy.

- Widzę - rzucił i po chwili był już przy mnie. - Jezu, jak ty wyglądasz? Co ci się stało? Ktoś cię napadł? - Pytania, jedno po drugim, padały z jego ust niczym armatnie salwy. - Moja siostra jest ranna, trzeba ściągnąć pogotowie. Masz komórkę? Rozejrzył się. - Gdzie ona jest?

- Boże, nie pytaj, tylko zadzwoń po pomoc! - Mój głos dopiero teraz uzyskał pełną siłę. Musiał jednak brzmieć histerycznie, ponieważ Dennis chwycił mnie za ramiona i lekko potrząsnął.

- Nie wiesz, jak długo trzeba czasami czekać na pogotowie? Jeśli weźmiemy ją do mojego samochodu, za dziesięć minut możemy być w szpitalu - powiedział. - Tylko gdzie ona jest, ta twoja siostra? - dodał takim tonem, jakby myślał, że coś sobie uroiłam.

Zupełnie się tym nie przejęłam. Jego argumentacja wydała mi się rozsądna, więc wyciągnęłam rękę w stronę parku.

Ruszył we wskazanym kierunku. Biegł tak szybko, że co chwila zostawałam z tyłu.

- Jest tam, w tej altanie! - powiedziałam, kiedy drewniana budowla w orientalnym

stylu stała się widoczna.

- Co jej się właściwie stało?

- Zjeżdżała z górki na sankach i wpadła rozpędzona na mur - mówiłam, łapiąc raz po raz powietrze. - Wydaje mi się, że ma paskudnie złamaną nogę i ranę na czole, która strasznie krwawi.

Dennis, usłyszawszy to, zaczął biec jeszcze szybciej. Wydawało mi się, że za nim nie nadążę, ale potworny lęk o siostrę dodawał mi sił i do altany wpadliśmy jednocześnie.

Pat leżała tak, jak ją zostawiłam. Na jej twarzy pozostało trochę śniegu, który nie zdążył się stopić, zabarwił się tylko na różowo. Oczy miała zamknięte, nie płakała, nie jęczała, nie poruszała się.

Do głowy cisnęła mi się straszna myśl - najgorsza ze wszystkich - ale nie chcąc jej do siebie dopuścić, opadłam na kolana i zaczęłam rozpaczliwie szukać jakichś oznak życia.

- Pat, to ja, Amy. Już wróciłam. Nie zareagowała.

- Pat! - zawołałam.

Nie poruszyła się, nie wydała żadnego dźwięku.

- Pat, nie możesz...

Dennis musiał się domyślić, co mi chodzi po głowie.

- Spokojnie, Amy - powiedział.

Dopiero teraz zauważyłam, że również ukląkł przy mojej siostrze. Trzymał jej rękę powyżej nadgarstka.

- Jest puls - uspokoił mnie. - I spójrz tu.

Popatrzyłam tam, gdzie wskazywał, i zobaczyłam mały obłoczek pary unoszący się nad ustami i nosem Pat. Odetchnęłam z ulgą.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy ją podnosić - odezwał się po chwili.

Wiedziałam, o co mu chodzi. Pamiętałam z kursu pierwszej pomocy, że przy urazach kręgosłupa nie można podnosić rannych bez usztywnionych noszy.

- Ja też nie jestem pewna, ale teraz to i tak nie ma już chyba większego znaczenia.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Przyniosłam ją tu spod tamtej góry. - Odwróciłam się i wyciągnęłam rękę w stronę mającego w ciemności wzniesienia.

- Przyniosłaś ją tu sama?

- Dalej już nie miałam siły.

Dennis pokręcił głową. Wtedy wydawało mi się, że nie potrafi tego zrozumieć, i poczucie winy, które kiełkowało we mnie już wcześniej, teraz dotarło do każdej komórki

mojego ciała.

- Musimy ją zawieźć do szpitala - powiedziałam.

- Jasne - rzucił i zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, trzymał Pat na rękach i wychodził z altany.

Nie należał do najsilniejszych chłopaków, jakich znałam. Nie grał w szkolnej drużynie bejsbolowej, nie słyszałam nigdy od Sharon, żeby zajmował się jakimś sportem, ale był silniejszy i znacznie wyższy ode mnie - co nie było czymś nadzwyczajnym przy moich mocno naciąganych stu sześćdziesięciu centymetrach wzrostu - i poruszał się tak szybko, jakby nieprzytomna Pat nie była dla niego żadnym ciężarem.

Truchtałam obok niego, cały czas dotykając jej głowy. Nie mogłam sobie wytłumaczyć tego w racjonalny sposób, ale miałam uczucie, że jeśli ani na chwilę nie stracę kontaktu z nią, to nie stanie się nic złego.

Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale potem, kiedy przypomiinałam sobie te pełne napięcia chwile, nie mogłam się nadziwić, że Dennis, brnąc w śniegu z moją siostrą na ramionach, miał jeszcze siłę dodawać mi otuchy.

- Nie martw się, Amy, wszystko będzie dobrze - powiedział, gdy dochodziliśmy do Chester Avenue.

Byłam w szoku. Niewiele pamiętam z drogi do szpitala. Tyle tylko, że siedziałam na tylnym siedzeniu samochodu Dennisa i trzymając głowę siostry na kolanach, co chwilę albo sprawdzałam puls, albo nachylałam się do jej piersi, żeby się upewnić, że bije serce. Zanim wskoczyłam do samochodu, chwyciłam jeszcze dużą garść śniegu i przyłożyłam do jej czoła, które znów zaczęło krwawić. Kiedy z piskiem opon zajechaliśmy na miejsce, śnieg zdążył się już stopić.

Wpadliśmy do szpitala - Dennis z Pat na rękach, ja biegnąc obok niego i krzycząc; - Moja siostra jest ranna!

Potem wszystko działo się tak jak w serialach, których akcja rozgrywa się w szpitalach. Natychmiast pojawił się lekarz, dwie pielęgniarki i zanim się obejrzałam, Pat już była wieziona długim korytarzem.

Biegnąc obok niej, tłumaczyłam pośpiesznie lekarzowi, co się stało.

Kiedy dotarliśmy do wielkich podwójnych drzwi oznaczonych tabliczką z napisem Oddział Intensywnej Terapii, jedna z pielęgniarek położyła mi rękę na ramieniu i zwróciła się do mnie i Dennisa:

- Poczekajcie tutaj, dobrze?

Widziałam, jak szpitalne łóżko z moją siostrą znika za drzwiami, i chciałam biec za nią. - Muszę być z siostrą! - zawołałam. Pielęgniarka przytrzymała mnie jednak.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uspokajającym głosem. - Kiedy tylko będziemy coś wiedzieli, zaraz damy ci znać. Usiądź tu sobie. - Wskazała na stojące nieopodal plastikowe fotele. - A ty - popatrzyła na Dennisa - przynieś jej może coś do picia. - Jasne, zajmę się nią.

- Mną nie trzeba się zajmować - zaprotestowałam. - Ja muszę do Pat! - krzyknęłam i już zamierzałam naprzec na drzwi, za którymi była moja siostra, ale tym razem powstrzymał mnie Dennis.

- Ona jest już pod opieką - powiedział, trzymając mnie mocno za oba ramiona. - Teraz nie jesteś w stanie jej już pomóc. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

- Nie zrobiłam! Właśnie o to chodzi, że nie zrobiłam! Nie przypilnowałam jej, kiedy zjeżdżała... - Amy... - Próbował przerwać potok moich słów, ale nie dałam mu dojść do głosu.

- Nie powinnam była w ogóle wychodzić z nią z domu!

- Przestań, nie możesz się o to winić.

- Mogę. Bo wiesz dlaczego poszłam z nią na sanki? Wiesz dlaczego?! Żeby mieć potem spokojny wieczór! Przez to, że ja chciałam mieć święty spokój, Pat...

- Amy, to nie twoja wina - powiedział Dennis, potrząsając mną lekko.

- A czyja?! - zawołałam.

Dopiero widząc wystraszone spojrzenia przechodzącej obok pary staruszków, uświadomiłam sobie, jak krzyczałam.

- Jestem okropna - odezwałam się już znacznie ciszej. - Nawet teraz, zamiast myśleć tylko o Pat, o tym, co z nią będzie, skupiam się na sobie, na swoich wyrzutach sumienia.

- Wcale nie jesteś okropna. A z twoją siostrą będzie wszystko dobrze, zobaczysz.

Poczułam się trochę lepiej, kiedy to usłyszałam. Może w jego głosie było coś, co dodało mi nadziei, a może po prostu chwyciłam się tych słów, ponieważ rozpaczliwie chciałam wierzyć, że to prawda.

- Chodź, usiądziemy - zaproponował.

Poszłam za nim, opadłam ciężko na fotel i ukryłam twarz w dłoniach.

Po chwili poczułam na ramieniu jego dłoń.

- Amy, powinnaś chyba zadzwonić do rodziców - powiedział cicho i wcisnął mi do ręki telefon komórkowy.

- Jasne - rzuciłam i zaczęłam wybierać numer do mamy. Palce tak mi drżały, że musiałam wciskać niewłaściwe guziki, bo dwukrotnie usłyszałam: „Nie ma takiego numeru”. Dopiero za trzecim razem się udało, ale włączyła się poczta głosowa.

Spojrzałam na zegarek; było piętnaście po siódmej. Rano mama mówiła mi, że o siódmej ma ostatniego pacjenta, wiedziałam więc, że przed ósmą nie włączy komórki.

Wyjaśniłam to Dennisowi.

- A ojciec? - zapytał.

- Wczoraj poleciał do Rzymu, dziś wraca, i jeśli się nie mylę, to teraz przelatuje nad Atlantykiem. Jest pilotem.

- Trudno, będziesz musiała poczekać do ósmej.

- Może to i lepiej - rzuciłam, opuszczając głowę. - Nie wiem, co bym jej teraz powiedziała.

Może do tego czasu dowiem się czegoś więcej. Chociaż...

Nagle przeraziłam się, czy to, czego się dowiem, nie będzie gorsze od niepewności, i znów zasłoniłam twarz rękami.

Dennis domyślił się tego, co przemilczałam. Wstał z fotela, przykucnął przede mną, odciągnął moje dłonie od twarzy i popatrzył mi w oczy.

- Będzie dobrze, Amy. Słyszysz? Będzie dobrze.

Skinęłam głową. W jego głosie było tyle przekonania, że musiałam mu uwierzyć.

Łatwość, z jaką mu wtedy uwierzyłam, powinna mnie zaalarmować. Był chłopakiem mojej przyjaciółki, ale nie znałam go zbyt dobrze. Sharon spotykała się z nim dopiero od trzech miesięcy i w tym czasie rozmawiałam z nim tylko kilka razy. A teraz miałam wrażenie, że jest kimś, kogo znam od lat, kimś, komu ufam.

Powinnam była dostrzec w tym coś niepokojącego i pewnie bym dostrzegła, gdyby nie napięcie, z jakim czekałam na jakąś informację o stanie Pat.

Dennis wciąż kucał przede mną i trzymał moje dłonie.

- Masz kompletnie skostniałe ręce - zauważył. - I mokre ubranie.

- Nieważne - wrzuciłam, wzruszając ramionami.

- Poczekaj tu, zaraz wrócę - powiedział i pobiegł korytarzem.

Nie zdążyłam zapytać, dokąd idzie, ponieważ otworzyły się drzwi prowadzące na Oddział Intensywnej Terapii i wyszła z nich pielęgniarka. Nie była to żadna z tych dwóch, które wcześniej zajmowały się Pat, mimo to zerwałam się z fotela i podbiegłam do niej.

- Czy pani może wie, co jest z moją siostrą? Z Patricią Summer. Przywieziono ją tu przed kilkoma minutami.

- Przykro mi, ale jestem z innego oddziału - odparła i poszła swoją drogą.

Gdy wracałam do foteli, zobaczyłam Dennisa idącego korytarzem. Niósł dwa duże brązowe kubki, znad których unosiła się para.

Pokręciłam głową, kiedy podał mi jeden z nich.

- Nie mogłabym teraz niczego pić - powiedziałam.

- Spróbuj - poprosił. - To gorąca czekolada. Trochę cię rozgrzeje - dodał, po czym dosłownie wcisnął w moje dłonie kubek.

Pociągnęłam mały łyżeczek, potem następny i jeszcze jeden i sama nie wiem kiedy, ale wypiliśmy wszystko.

- Dzięki - rzuciłam. - Rzeczywiście zrobiło mi się cieplej.

Właśnie wrzucałam pusty kubek do kosza, kiedy drzwi, z których nie spuszczałam wzroku, otworzyły się i pojawiła się w nich niemłoda już pielęgniarka.

Chciałam się podnieść i do niej podbiec, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ona tymczasem ruszyła w moją stronę.

- Jesteś siostrą Patricii Summer?

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu, skinęłam więc tylko głową.

Wpatrywałam się w nią, próbując wyczytać coś z jej twarzy. Uśmiechała się.

Nie byłaby chyba tak okrutna, żeby się uśmiechać, gdyby miała mi do zakomunikowania jakąś złą wiadomość, pomyślałam i wreszcie udało mi się zadać pytanie:

- Co z nią?

- Wkrótce wyjdzie do ciebie lekarz i wszystko ci powie.

- To znaczy, że jest niedobrze.

- Nie, skądże, tylko że ja zajmuję się czymś innym. - Wskazała palcem na jakieś formularze. - Papierami - wyjaśniła. - I w związku z tym potrzebuję od ciebie kilku informacji.

Próbowałam ją jeszcze wypytywać, lecz nie usłyszałam nic poza zapewnieniami, że moja siostra jest pod dobrą opieką i wszystko będzie dobrze. Niestety, musiałam się na razie tym zadowolić i odpowiedzieć na te pytania, na które potrafiłam, takie jak data urodzenia Pat, adres zamieszkania. Z większością pytań jednak trzeba było czekać na mamę.

- Myślisz, że ona naprawdę nic nie wiedziała o tym, co z Pat? - zwróciłam się do Dennisa, kiedy zostaliśmy sami. - A może wiedziała, tylko nie chciała nic mówić?

- Amy, ona naprawdę zajmuje się tylko papierami - powiedział i znów mu uwierzyłam.

Jeszcze dwa razy dzwoniłam do matki, lecz znów odzywała się poczta głosowa. Nie nagrywałam się. Pomyślałam, że mama i tak oddzwoni, kiedy tylko włączy komórkę i zorientuje się, że próbowałam się z nią wielokrotnie skontaktować. Dopiero po jakimś czasie do mojego skołowanego umysłu dotarło, że przecież dzwonię z telefonu Dennisa i matka nie będzie miała pojęcia, że to ja.

Dochodziła już ósma i wybierałam jej numer po raz kolejny, kiedy drzwi się otworzyły i z Oddziału Intensywnej Terapii wyszedł lekarz, ten sam, który przyjmował Pat.

- Co z nią? - zawołałam, zrywając się z fotela.

- Spokojnie - powiedział, kiedy biegłam do niego. - Nie chcemy tu już dzisiaj kolejnych połamanych kończyn.

Uśmiechał się! Uśmiechał się tak, że wiedziałam, iż Pat nie grozi nic bardzo poważnego.

- Odzyskała przytomność?

- Oczywiście. Ma, niestety, złamaną nogę. Ale to już wiedziałas, prawda?

- Tak.

Złamana noga to nic przyjemnego - mogę coś na ten temat powiedzieć, bo sama to zaliczyłam, kiedy przed sześcioma laty po raz pierwszy byłam na nartach - ale z tego się wychodzi. Może to zabrzmieć dziwnie, ale ucieszyłam się, że Pat ma złamaną nogę. Tylko

złamaną nogę...

A może doktor postanowił przekazać mi najpierw tę dobrą wiadomość, a tę złą zostawił na później, zaniepokoiłam się.

- A głowa? - spytałam.

- Tomografia nic nie wykazała. Musimy się wprawdzie liczyć ze wstrząśnieniem mózgu, ale wszystko wskazuje na to, że twoja siostra miała dużo szczęścia.

- A ta rana na czole?

- Przecięcie łuku brwiowego. Wyglądało groźnie, ale to nic poważnego. Założyliśmy jej pięć szwów. Za kilka tygodni nie będzie po tym śladu.

- Więc dlaczego ona straciła przytomność? Lekarz rozłożył ręce.

- Szok, ból...

Przypomniałam sobie wykrzywioną cierpieniem buzię Pat.

- Wciąż ją bardzo boli? - spytałam.

Pokręcił głową.

- Dostała środki przeciwbólowe. W tej chwili zajmuje się nią ortopeda.

- Kiedy będę mogła ją zobaczyć?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon, który trzymałam w ręce. Zapominając, że nie należy do mnie, przeprosiłam lekarza i odebrałam.

Usłyszałam głos mamy. Po wyjściu pacjenta zobaczyła, że ktoś kilka razy próbował się z nią skontaktować, i oddzwoniła.

Była przerażona tym, co jej powiedziałam. Potem, w domu, mówiła mi, że nie mogła zrozumieć, dlaczego opowiadałam jej o tym tak radośnie. Dopiero kiedy wytłumaczyłam jej, że prawie przez godzinę przychodziły mi do głowy najczarniejsze myśli, przestała się dziwić.

Lekarz obiecał mi, że kiedy tylko w szpitalu zjawi się mama, będziemy mogły obie iść do Pat, i wrócił na oddział.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły popatrzyłam na Dennisa, który stał przy mnie przez cały czas. Aż do tej chwili nie uroniłam ani jednej łzy. Teraz, kiedy wyglądało na to, że wszystko skończy się dobrze, rozplakałam się.

Nie wiem, czy to Dennis objął mnie, czy to ja zarzuciłam mu ramiona na szyję, ale przywarliśmy do siebie i staliśmy tak bardzo długo.

Było mi dobrze przy nim i wcale nie przyszło mi do głowy, że może jest coś niewłaściwego w tym, że tulę się tak do chłopaka mojej najlepszej przyjaciółki.

Odsunęłam się od niego, kiedy zobaczyłam matkę, biegnącą korytarzem. Jej gabinet jest na drugim końcu miasta i do dziś nie wiem, jak udało jej się dojechać do szpitala w niecałe dziesięć minut.

Wkrótce pojawiła się pielęgniarka i zaprowadziła nas na Oddział Ortopedii, gdzie została przewieziona Pat. Kiedy do niej dotarliśmy, spała. Na nogę miała już założony gips, a na czoło opatrunek. Była wciąż jeszcze blada, ale oddychała spokojnie i z jej małej buzi zniknął wyraz cierpienia.

Kiedy lekarz pokazywał mamie zdjęcie złamanej kości i uspokajał ją, mówiąc, że nie przewiduje żadnych komplikacji, Pat przebudziła się. - Mama - odezwała się, przecierając oczy. Obie, mama i ja, natychmiast znalazłyśmy się przy jej łóżku. - Widzisz, mówiłam ci, że idziemy do mamy - powiedziałam do niej przez łzy. Jak na kogoś, kto dwie godziny temu był nieprzytomny, Pat okazała się nieoczekiwanie ożywiona i zaczęła nam opowiadać o tym, co przeżyła w szpitalu po tym, jak odzyskała przytomność. Tyle tylko, że gdybym nie wiedziała, że robiono jej tomografię mózgu i inne badania, byłabym pewna, że moją siostrę porwali przybysze z innej planety i poddawali ją jakimś niesamowitym doświadczeniom. Fox. Mulder i Dana Scully z serialu „Z archiwum X” niewątpliwie zainteresowałiby się opowieścią mojej siostry.

Zwykle po pięciu minutach jej paplaniny byłam zniecierpliwiona, ale teraz patrzyłam na nią zachwycona i wiedziałam, że już nigdy nie powiem jej: „Pat, zamkniesz się wreszcie?” I właśnie wtedy się zamknęła. Pomyślałam, że się zmęczyła. Myliłam się jednak. Moja siostra patrzyła na Dennisa, który przyszedł tu ze mną i z mamą i nie chcąc nam przeszkadzać, stał przy drzwiach. - Kto to jest? - zdziwiła się.

- To Dennis - powiedziałam. - Pomógł mi przynieść cię do mamy. - Uśmiechnęłam się do niego, po czym zwróciłam się do Pat: - Przyznam ci się, że gdyby nie on, to nie wiem, czybym cię doniosła.

Uśmiechnęła się - do niego, nie do mnie - a on pomachał do niej. - Cześć, Pat. Miło mi cię poznać.

- Podoba ci się mój gips? - zapytała, pokazując zawieszoną na wyciągu nogę. - Pewnie - odparł. - Ale wiesz czego najbardziej ci zazdrościsz?

- Czego? - spytała Pat.

- Siostry. Chciałbym mieć taką siostrę jak ty.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, co Pat miała na ten temat do powiedzenia, ponieważ powieki zaczęły jej opadać i pół minuty później znów spała.

- Wydaje mi się, że teraz zasnęła już na dłużej - rzekł lekarz. - Właściwie mogłaby pani już pójść do domu - zwrócił się do mojej matki.

- Nie, zostanę tu - oświadczyła.

Chciałam ją przekonywać, że to bez sensu, ale przypomniałam sobie, jak sześć lat wcześniej leżałam w szpitalu ze złamaną nogą i budząc się, zobaczyłam pochylającą się nade mną mamę.

- Tak, zostaniemy - powiedziałam. Mama jednak pokręciła głową.

- Nie, ty pojedziesz do domu.

Nie udało mi się nawet otworzyć ust, żeby zaprotestować.

- Amy, musisz pojechać do domu i odpocząć.

- Nie jestem zmęczona.

- Jesteś. Jesteś tak zmęczona, że nawet nie masz siły, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Uwierz mi. - Popatrzyła na mnie wzrokiem psychoterapeutki, po czym zwróciła się do Dennisa: - Nie wiem, czy mogę cię o to prosić...

Zanim skończyła, już wiedział, o co jej chodzi.

- Oczywiście, że ją zawiozę.

- Jesteś wspaniały. - To powiedziała moja mama, nie ja.

Ja, nawet jeśli już wtedy tak myślałam - choć nie mogę sobie przypomnieć, czy doszłam do tego wniosku tam w szpitalu, czy następnego lub może jeszcze następnego dnia - na pewno nie wyraziłabym tego tak otwarcie.

Wiedziała, że nie ma co się z nią spierać. I tak postawiłaby na swoim, zwłaszcza że Dennis był po jej stronie.

- Twoja mama ma rację, Amy. Powinnaś wrócić do domu i odpocząć.

Pocałowałam więc Pat w pachnący środkami antyseptycznymi policzek, pożegnałam się z mamą i ruszyłam do drzwi.

- A co z tatą? - zapytałam.

- Nie przejmuj się nim, powiadomię go. Zadzwoń do niego... - zerknęła na zegarek za jakieś dwie godziny. - O tej porze powinien już wylądować. - A ty jedź do domu, zjedz porządną kolację i połóż się spać. W lodówce jest...

- Mamo, nie jestem dzieckiem, poradzę sobie.

- I na wszelki wypadek łyknij aspirynę.

- Nie jestem chora.

- Wierz mi, nie wyglądasz najlepiej.

Uśmiechnęłam się nieco ironicznie i pokręciłam głową.

- A co z twoją teorią o nadopiekuńczych matkach? - Jako córka psychoterapeutki wiedziałam, oczywiście, że nadopiekuńczość matek jest równie albo bardziej zgubna dla rozwoju dziecka niż brak zainteresowania.

Odpowiedziała mi podobnym uśmiechem.

- Nie jestem już w pracy - rzekła. - Ostatni pacjent wyszedł z mojego gabinetu ponad godzinę temu. - Teraz jestem przede wszystkim matką i bardzo cię proszę, żebyś zjadła kolację i położyła się spać, a wcześniej łyknęła tę cholerną aspirynę.

Myślę, że niektórzy z pacjentów mojej mamy, słysząc, jak wykorzystuje swoją wiedzę w praktyce, przestaliby wierzyć, że jest w stanie im pomóc i nie zapłaciliby jej już nigdy więcej 50 dolarów za godzinę, ale, moim zdaniem, mimo wszystko popełniliby błąd. Syn jednej z jej koleżanek psychoterapeutek, mój rówieśnik, przed kilkoma miesiącami umarł po przedawkowaniu narkotyków, a córka trafiła do jakiejś sekty, dziesięcioletni dzieciak innej został wydalony ze szkoły z powodu znęcania się nad rówieśnikami, a córka jeszcze innej została przyłapaną w supermarkecie na kradzieży gwoździ (do dziś zastanawiam się, do czego jej były potrzebne). Ja w wieku siedemnastu lat nie próbowałam narkotyków, a jedyny napój zawierający alkohol - dodam jeszcze, że tylko w nazwie - jaki miałam w ustach, to bezalkoholowy poncz przyrządzany przez moją babcię, nikogo jeszcze nie pobiłam i nigdy niczego nie ukradłam.

Wniosek stąd płynie prosty: Moja mama jest całkiem niezłą psychoterapeutką, a ta „cholerna aspiryna”, no cóż... wszyscy czasami popełniamy błędy.

- W porządku, połknę tę „cholerną aspirynę” i położę się spać - obiecałam.

- Mógłbyś tego przypilnować?

Nie mogłam w to uwierzyć, ale rzeczywiście zwracała się z tym do Dennisa.

Potem zastanawiałam się, czy poprosiłaby go o to, gdyby wiedziała, że był chłopakiem Sharon. Tego dnia spotkała go po raz pierwszy i kiedy przedstawiałam go jej pośpiesznie przed drzwiami Oddziału Intensywnej Terapii, powiedziałam tylko, że to kolega, który przypadkiem przejeżdżał Chester Avenue i pomógł mi dostarczyć Pat do szpitala. Nie wspomniałam, że od trzech miesięcy jest chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki.

- Tak, oczywiście, że przypilnuję - odparł Dennis.

Próbowałam coś powiedzieć, lecz mama nie dała mi dojść do głosu.

- Nie wiem tylko, czy nie powinieneś już wrócić do domu. Jest już dosyć późno i rodzice na pewno się o ciebie martwią.

- Zadzwoń i uprzedzę ich, że będę później. Proszę się tym nie przejmować.

Wciąż chciałam zaprotestować, powiedzieć, że poradzę sobie sama, że nikt nie musi się mną opiekować, nie zrobiłam tego jednak. Może dlatego, że nie miałam na to siły, a może dlatego, że spodobało mi się to, iż Dennis się mną zaopiekuje.

Co do jednego mama miała rację - tak padałam z nóg, że nie miałam nawet siły czuć, że jestem zmęczona.

Kiedy osunęłam się na przednie siedzenie obok Dennisa, udało mi się tylko podać adres i od razu zasnęłam. Musiał mną potrząsnąć, gdy zajechał przed dom.

Kiedy się ocknęłam, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że siedzę w samochodzie Dennisa, i przypominałam sobie wydarzenia ostatnich kilku godzin.

Musiałam wyglądać na zdezorientowaną, może nawet przerażoną, ponieważ położył dłoń na moim ramieniu i powiedział:

- Spokojnie, Amy, wszystko w porządku. Jesteśmy już pod domem.

- Pod domem? Pod jakim domem? - Niby zdążyłam dojść do siebie, ale jeszcze bardzo wolno kojarzyłam dosyć oczywiste fakty.

- Pod twoim domem. - Zwracał się do mnie takim tonem, jakbym to ja, a nie moja siostra, przywaliła głową w mur. - Twoja mama prosiła, żebym cię odwiózł.

- Przecież wiem - powiedziałam, próbując ratować moją reputację niegłupiej dziewczyny. - Nie mogłam się kompromitować przed chłopakiem mojej przyjaciółki, więc zebrałam się w sobie i odezwałam się głosem myślącej osoby, za jaką zawsze pragnęłam uchodzić: - Dzięki. Chciałam mu podziękować - za to że mnie nie przejechał, tam na Chester Avenue, i że się zatrzymał, za to że doniósł do samochodu Pat i dowiózł ją do szpitala, i za to że dzięki niemu zniosłam jakoś tę godzinę niepewności, kiedy nie wiedziałam, co dzieje się z moją siostrą, ale słowa mi się jakoś nie kleiły, położyłam więc rękę na klamce i słabym głosem rzuciłam: - Dzięki za wszystko. Cześć. Dennis, zamiast odjechać, wysiadł z samochodu.

- Nie potraktowałeś chyba poważnie tego, co mówiła moja mama - powiedziałam, widząc, że rusza za mną.

- Nie wydawało mi się, żeby żartowała - zauważył.

- Jasne, że nie, ale mną naprawdę nie trzeba się opiekować. Zrobiłeś dla mnie dzisiaj już wystarczająco dużo. Ty też na pewno jesteś zmęczony, więc jedź, proszę, do domu. - Obiecałem twojej mamie, że przypilnuję, żebyś...

- Uwierz mi, że nie ma takiej potrzeby - powiedziałam, po czym sama dostarczyłam mu dowodu, że owszem, jest taka potrzeba: nie byłam w stanie otworzyć drzwi. Dennis

patrzył przez jakiś czas, jak się szamoczę, próbując trafić kluczem do zamka, w końcu wyjął mi go z ręki i po chwili byliśmy już w środku.

W przedpokoju odruchowo spojrzałam w lustro. Wyglądałam okropnie - usta spierzchnięte, pod oczami sińce, a włosy posklejane w strąki. Żadna dziewczyna nie lubi się w takim stanie pokazywać chłopakowi, nawet jeśli nie jest to jej chłopak, tylko przyjaciółki.

Ponowiłam więc próbę wysłania Dennisa do domu, ale albo robiłam to za mało przekonująco, albo on potraktował zbyt poważnie obietnicę, którą dał mojej matce.

Dopilnował wszystkiego, o co go prosiła.

Najpierw uparł się, że koniecznie muszę coś zjeść. Broniał się, jak mogłam, mówiąc, że nie jestem głodna, w końcu jednak dałam za wygraną, poszłam z nim do kuchni i zajrzałam do lodówki.

Moja mama należy do nowoczesnych kobiet, tych, co to nie zaprzatają sobie głowy gotowaniem, są za to świetne w odmrażaniu gotowych produktów. Nie można jej, broń Boże, zarzucić, że nie myśli o rodzinie. Tego dnia przed wyjściem do pracy również pomyślała i wyjęła z zamrażarki szpinakowe ravioli w sosie z czterech serów.

- Ohyda - prychnęłam, kiedy poczułam zapach parmezanu, którego nie znoszę. - Właściwie to nie jestem głodna.

Dennis najwyraźniej uznał, że kapryszę, bo podszedł i powąchał.

Roześmiałam się, widząc jego skrzywioną minę.

- Nie powtarzaj tego swojej mamie, ale też bym tego nie tknęła.

Patrzył na mnie zdziwiony, kiedy wzięłam talerz i nałożyłam na niego ravioli.

- Będziesz jednak jadła? - spytał.

- Nie, zdecydowanie, nie - odparłam. - Dzisiejszy dzień był dla mnie zbyt okropny, żebym się jeszcze na koniec miała dobijać czymś takim.

- Więc po co to robisz?

Domyśliłam się, że pyta, po co nakładam jedzenie na talerz.

- Zacieram ślady - odpowiedział. - Czy może raczej je fabrykuję - sprostowałam, wyrzucając ravioli do zlewozmywaka i włączając mielarkę resztek. Dennis pokiwał głową ze zrozumieniem.

Ja tymczasem nałożyłam drugą porcję na kolejny talerz.

- A to po co? - zdziwił się znowu.

- Żeby mi mama nie zarzuciła niegościnnosci. Pamiętaj, gdyby co, to jadłeś ze mną ravioli i było pyszne.

Zrobił niewyraźną minę.

- Żartowałam - uspokoiłam go. - Mama nie będzie cię pytać.

Kiedy już dwa talerze i sztucze zabrudzone serowym sosem leżały w zmywarce, stwierdziłam, że jestem głodna. Ostatni raz jadłam w stołówce i od tej pory minęło już tyle czasu, że nawet nie pamiętałam, co było na lancz.

- Tylko co tu teraz zjeść? - zastanawiałam się głośno, zaglądając do lodówki.

Dennis stał za mną i patrzył ponad moim ramieniem. Jakoś zupełnie nie wydało mi się dziwne, że chłopak, którego znam od niedawna, który jest w moim domu po raz pierwszy, zachowuje się jak dobry znajomy. Sama czułam się tak, jakbym była w towarzystwie starego przyjaciela.

- Widzę masło orzechowe - powiedział. - O, i jest galaretka winogronowa.

Wyjęłam oba produkty i sięgnęłam do pojemnika po pieczywo.

- W porównaniu z tym - popatrzyłam na zlewozmywak, w którego czeluściach zniknęły przed chwilą dwie porcje ravioli - to będzie prawdziwa uczta.

Ja smarowałam pieczywo masłem orzechowym, Dennis nakładał na wierzch galaretkę i wkrótce mieliśmy już po cztery kanapki na dwóch talerzach.

- Nie wiem, jak ty, ale ja napiłabym się czegoś ciepłego.

- Ja też.

- Herbaty?

Moja mama jest nie tylko świetna w odmrażaniu gotowych potraw, równie dobra jest w kupowaniu herbat. Na herbaty w naszej kuchni jest przeznaczona cała szafka.

- Może być - rzucił Dennis.

- Możesz sobie zażyczyć herbaty o dowolnym smaku - oznajmiłam.

- Cytrynowa?

- Nie jesteś zbyt pomysłowy. No, wyteż trochę wyobraźnię i wymyśl coś bardziej niecodziennego. Mogę się założyć, że cokolwiek wymyślisz, będzie w tej szafce.

Dennis zastanawiał się przez chwilę.

- Już wiem! Cynamonowo - jabłkowa. I co, przegrałabyś zakład?

Prychnęłam z pogardą, wyjmując z szafki herbatę z jabłkiem i laskami cynamonu na opakowaniu.

- Próbuje dalej - powiedziałam.

Tym razem namyślał się trochę dłużej.

- Śliwkowo - imbirowa - rzucił.

- Zupełnie brak ci fantazji - powiedziałam, pokazując mu puszkę z napisem „Zielona herbata o smaku śliwkowo - - imbirowym”

- Tak uważasz? - zapytał zaczepnym tonem. - No to poczekaj chwilę. Zadarł głowę i patrzył w sufit, jakby szukał tam natchnienia. - Mam! Pomarańczowo - czosnkowa.

Chciałam się z nim trochę podroczyć, zrobiłam więc zmartwioną minę i dopiero kiedy Dennis uśmiechnął się triumfalnie, wspięłam się na palce i sięgnęłam do najwyższej półki w szafce.

- Proszę bardzo - powiedziałam, podając mu pudełeczko.

- Żartujesz - rzucił, po czym przeczytał napis na przyklejonej do niego etykietce.

Kilka miesięcy wcześniej mama kupiła ją w swoim ulubionym sklepie z herbatami.

Pamiętam, że kiedy ją zobaczyłam, zrobiło mi się niedobrze.

Teraz najwyraźniej to samo przeżywał Dennis.

- Kto pije coś takiego? - zapytał z odrazą.

- Jak widzisz, do dzisiaj nikt. - Folia na opakowaniu była nienaruszona. - Wygląda na to, że będziesz pierwszy. I powiem ci szczerze, że wcale ci tego nie zazdroszczę.

- Wypiję wszystko, co mi dasz, ale proszę cię, nie każ mi pić tego świństwa.

- No, dobrze - powiedziałam z ociąganiem, po czym ściągnęłam z najwyższej półki, pierwszą paczkę, jaka nawinęła mi się pod rękę. Nie musiałam przebierać; na tę półkę trafiały tylko te herbaty, których nikt nigdy nie chciał próbować, nawet moja mama. - Jaśminowa z algami.

- Fuj! - rzucił Dennis, po czym zajrzał do szafki. Był ode mnie prawie trzydzieści centymetrów wyższy, widział więc bez problemu nazwy herbat na ostatniej półce. - Cytrynowo - pokrzywowa, sasafrasowa z wyciągiem z ośmiornicy - czytał, krzywiąc się z obrzydzeniem - rumiankowa z nasionami amarantusa... Co to jest amarantus?

- Nie mam bladego pojęcia, ale jeśli chcesz spróbować...?

- Nie, proszę - rzekł, unosząc ręce w geście poddania się.

Skończyło się na tym, że oboje zdecydowaliśmy się na herbatę jabłkowo - cynamonową.

Kiedy zabraliśmy się za kanapki, okazało się, że straciłam apetyt. Miałam coraz mocniejsze dreszcze, piekły mnie oczy i bolała głowa. Drugą kanapkę jadłam już na siłę. Podniosłam z talerza trzecią, ale ją odłożyłam.

Dennis zauważył to i przyjrzał mi się uważnie.

- Nie czujesz się dobrze, prawda?

- Nie najlepiej, ale to nic takiego. Wyśpię się i jutro nic mi nie będzie.

- Twoja mama mówiła, żebyś wzięła aspirynę.

W szpitalu jej nadmierna troskliwość trochę mnie zirytowała, teraz nie miałam jej tego

za złe.

Czułam, że aspiryna bardzo mi się przyda.

Czekając, aż Dennis zje swoje kanapki, zasypiałam prawie przy stole. Mówił coś, ale niewiele z tego do mnie docierało.

- Chyba trzeba pouścić ślady - powiedział, gdy skończył.

- Ślady? - Rozejrzałam się trochę nieprzytomnie po kuchni. - Jakie ślady?

- No, skoro tak starannie fabrykowałam dowody na to, że jedliśmy ravioli, to trzeba jeszcze usunąć ślady po kanapkach.

- Ach, wszystko mi jedno - rzuciłam, machając ręką. - Padam z nóg.

- Widzę. Masz okropnie rozpaloną twarz. - Podeszedł do mnie i przyłożył dłoń do mojego policzka.

W tym momencie nie widziałam nic złego w tym, że robi to chłopak mojej przyjaciółki.

Później, kiedy przypomiinałam sobie tę chwilę, widziałam to zupełnie inaczej, ale wtedy czułam tylko przyjemny chłodny dotyk na rozgrzanej twarzy.

- Wiesz co, idź się położyć, a ja zajmę się usuwaniem śladów.

- Dennis, naprawdę nie musisz tego robić. Powinieneś już jechać do domu. - Stałam koło okna, odwróciłam się i spojrzałam za szybę. Na dworze wciąż prószył śnieg. - Cały czas pada.

Drogi są pewnie zasypane.

- Nie przejmuj się, poradzę sobie. Wadź się, a ja sprzątnę tu trochę i przyjdę do ciebie.

Chciałam go jeszcze przekonywać, ale on już wkładał do lodówki słoiki z masłem orzechowym i galaretką.

- Mój pokój jest na końcu korytarza po prawej - powiedziałam, wychodząc z kuchni.

- W porządku, znajdę cię.

Wymyłam tylko zęby i spłukałam wodą twarz - na prysznic nie miałam już siły. Zdjęłam ubranie i rzuciwszy je byle jak na podłogę w łazience, włożyłam starą piżamę w misie, z rękawami powyciąganymi tak bardzo, że przykrywały całe dłonie. Miałam kilka innych, nowszych i pewnie ładniejszych, lecz tę lubiłam najbardziej. Żałowałam, że nie wzięłam z pokoju szlafroka.

Miałam nadzieję, że zdążę go włożyć, zanim Dennis wyjdzie z kuchni, ale kiedy przyszedłam do swojego pokoju, on już tam był.

Siedział na fotelu przy moim łóżku. W rękę trzymał sfatygowany, oprawiony w skórę tomik wierszy Edwarda Estlina Cummingsa. Dostałam go przed dwoma laty na gwiazdkę od

dziadka, który wypatrzył go w jakimś antykwariacie. Leżał zawsze na nocnym stoliku.

Zdarzało się, że nie zaglądałam do niego przez kilka tygodni, ale nigdy nie odkładałam go na półkę; chciałam go zawsze mieć pod ręką.

- Ja też go lubię - powiedział, unosząc książkę.

Byłam skrepowana. Wstydziłam się, że Dennis widzi mnie w powyciąganej piżamie.

Poczułam się również dziwnie ze świadomością, że dotyka mojego Cummingsa. Od pół roku miałam chłopaka, Pita. Przychodził do mnie czasami. Siadywał w tym samym fotelu, który teraz zajmował Dennis, nigdy jednak nie widziałam, żeby sięgał po tę książkę.

- Wiesz, nie chcę cię wyganiać - odezwał się nieśmiało, sięgając po leżący na łóżku szlafrok - ale oczy same mi się zamykają.

- Miałem przypilnować, żebyś się położyła.

- No i zrobiłeś to.

- Nie widzę, żebyś leżała.

- Nie czepiaj się szczegółów. Odprowadzę cię do drzwi i wrócę do łóżka.

- Sam do nich trafię. Kiedy je otwierałem, zwróciłem uwagę, że macie taki sam zamek jak my - powiedział. - Wystarczy, że zatrzaszę je od zewnątrz.

Nie miałam siły się z nim spierać, wsunęłam się więc pod kołdrę i przykryłam po samą brodę.

- Mam ci poczytać na dobranoc? - zapytał.

Myślałam, że żartuje, ale po chwili słyszałam już jego głos.

Czytał „Jechała moja miłość a cała w zieleni”, mój ulubiony wiersz, i to dokładnie tak, jak ja bym to zrobiła, gdybym się kiedykolwiek odważyła czytać głośno poezję. W tych samych miejscach zawieszał głos, akcentował te same słowa.

Kiedyś śmiałam się z dziewcząt, które mówiły, że zakochały się w oczach jakiegoś chłopaka albo w jego ustach. Teraz już się nie śmieję.

Ja zakochałam się w głosie Dennisa.

Pamiętam, że czytał jeszcze wiersz „Jeśli są jakieś nieba” i „Godziny wznoszą się”. Zasnęłam chyba w połowie tego drugiego.

Kiedy przebudziłam się rano, na nocnym stoliku paliła się lampka. Dennis musiał ją zapalić, zanim wyszedł z mojego pokoju.

Przypomniałam sobie jego głos i zrobiło mi się tak przyjemnie, że uśmiechnęłam się, przykryłam głowę kołdrą i już prawie zasypiałam, kiedy przed oczami stanął mi wczorajszy wieczór - wypadek, szpital, lęk o życie siostry.

Obudził się we mnie niepokój o Pat. Zerwałam się i pobiegłam do sypialni rodziców. Miałam nadzieję, że przynajmniej jedno z nich wróciło do domu, gdy spałam. Ich łóżko było jednak pościelone.

Szłam właśnie po telefon, kiedy usłyszałam zajeżdżający przed dom samochód. Podbiegłam do frontowego okna i wyjrzałam na zewnątrz. Zanim zdążyłam cokolwiek zobaczyć, znikł w garażu.

Dwie minuty później matka i ojciec byli już w domu. Oboje wyglądali na zmęczonych, lecz uśmiechali się. Odetchnęłam z ulgą. - Jak ona się czuje? - Dobrze - odparła mama.

- Nie wiem nawet, czy nie za dobrze - dodał ojciec. - Roznosi szpital w szwach. Znając moją siostrę, wiedziałam, że tata przesadza tylko trochę.

- Cała, Pat - powiedziałam i roześmiałam się, po czym podeszłam do niego i przywitałam się. Nie widzieliśmy się od trzech dni.

- A ty? - Mama przyjrzała mi się. - Martwiłam się o ciebie. Wczoraj w szpitalu nie wyglądałaś najlepiej.

- Ale, tak jak mi kazałaś, zjadłam kolację i położyłam się spać, a wcześniej łyknęłam tę cholerną aspirynę... nawet dwie cholerne aspiryny i teraz czuję się świetnie. Ojciec popatrzył na mnie trochę zgorzony moim językiem, ale widząc, że ja i mama mrugamy do siebie porozumiewawczo, machnął ręką.

Zjedliśmy razem śniadanie, a potem ustaliliśmy, że rodzice się prześpią, a ja w tym czasie pojedę do szpitala do Pat.

Wróciłam do swojego pokoju i pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to tomik wierszy Cummingsa. Był taki sam, leżał na nocnym stoliku, w tym samym miejscu co zawsze, a jednak wydał mi się jakiś inny. Wzięłam go do ręki i trzymałam przez chwilę. Otworzyłam go

na chybił trafił i, oczywiście, trafiłam na „Jechała moja miłość...”. Nic dziwnego - tak często czytałam ten wiersz, że książka zawsze otwierała się w tym miejscu.

Przypomniałam sobie głos Dennisa, męski, a jednocześnie miękki i ciepły, i uśmiechnęłam się. Stałam akurat na wprost lustra i zauważyłam ten uśmiech. I w ogóle mi się nie spodobał.

Za dużo w nim było rozmarzenia, za dużo jakiejś nieokreślonej tęsknoty.

Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek uśmiechałam się w ten sposób, kiedy myślałam o swoim chłopaku. Bardzo lubiłam Pita, znaliśmy się od trzech lat i nawet nie potrafiłabym dokładnie uchwycić tego momentu, kiedy staliśmy się parą. Wydaje mi się, że to inni zaczęli widzieć w nas parę, a my po prostu zaakceptowaliśmy ten stan rzeczy. Nigdy jednak nie oszukiwałam ani siebie, ani jego, że jestem w nim zakochana, i wiedziałam, że Pit nie będzie tym jedynym w moim życiu.

Wierzyłam, że miłość to coś więcej niż tylko kogoś bardzo lubić i spędzać miło czas w jego towarzystwie. Teraz, stojąc przed lustrem, czułam mgliście przedsmak tego, czym może być. Tylko że ja nie mogłam sobie pozwolić na to uczucie. Musiałam zdusić je w zarodku. Wczorajszy dzień był szczególny. Po tym, co przeżyłam, po ciągnących się w nieskończoność minutach lęku o życie Pat, miałam prawo reagować dziwnie, ale to było wczoraj. Dzisiaj sytuacja wróciła do normy i nie powinnam się uśmiechać na myśl o Dennisie, nakazałam sobie i kiedy tym razem popatrzyłam w lustro, na mojej twarzy nie było już śladu rozmarzenia.

I nie powinnaś tak czule dotykać tej książki, skarciłam się w duchu, po czym cisnęłam biednym Cummingsiem tak gwałtownie, że serce podskoczyło mi w piersi ze strachu, że zniszczyłam mój ukochany stary tomik.

Dennis był chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki i nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby myśleć o nim inaczej. Owszem, miałam prawo go lubić; to nawet dobrze, jeśli lubimy partnerów swoich przyjaciół, ale na tym koniec.

Poszłam do łazienki, żeby się wreszcie porządnie wykąpać. Kiedy woda leciała do wanny, próbowałam myśleć o różnych rzeczach - o tym, że wieczorem spotkam się z Pitem, i jak zwykle w sobotę, pójdziemy do kina, o tym, że powinnam wziąć ze sobą do szpitala kilka książek z pokoju Pat, żeby mieć jej co czytać, i o tym, że to dziwne, że Sharon znalazła sobie chłopaka, który czytuje Cummingsa, skoro ona nie znosiła poezji.

Kiedy złapałam się na tym, że moje myśli znowu zawędrowały do Dennisa, postanowiłam wejść do wanny i nie myśleć w ogóle o niczym. Wsadziłam jedną nogę i natychmiast ją cofnęłam. Woda była potwornie gorąca. Co gorsza, wanna była pełna, więc

żeby dolać zimnej, należało spuścić trochę tego ukropu. Ale żeby to zrobić, trzeba było wsadzić do niego rękę i wyjąć zatyczkę, a na to nie miałam najmniejszej ochoty.

Postanowiłam poczekać trochę, aż wystygnie, i wróciłam do swojego pokoju.

I co zrobiłam, kiedy się w nim znalazłam? Wzięłam do ręki do ręki tomik wierszy. Zastanawiałam się, czy nie postawić go na półce, żeby przynajmniej na jakiś czas uniknąć niepożądanych skojarzeń, ale nie mogłam się na to zdobyć.

Zresztą niby dlaczego miałabym to zrobić, pomyślałam. To bez sensu, żeby mój Bogu ducha winny Cummings wylądował na półce tylko dlatego, że przypadkiem chłopak mojej przyjaciółki też lubi jego wiersze.

Kiedy odkładałam książkę na nocny stolik, uświadomiłam sobie, że przecież Sharon nie wie jeszcze, co stało się poprzedniego dnia, chyba że Dennis zadzwonił do niej dzisiaj i o wszystkim opowiedział. Nie przypuszczałam, żeby telefonował do niej wczoraj po wyjściu ode mnie; było już zbyt późno.

Nie zastanawiając się, chwyciłam za słuchawkę i wybrałam jej numer. Dopiero po czwartym sygnale przypomniałam sobie, że Sharon nie ma w domu. Miała w czasie weekendu wyjechać z rodzicami w góry na narty.

Wróciłam do łazienki, zacisnęłam zęby i wsadziłam rękę do ukropu, żeby wyjąć zatyczkę.

Już od ponad dwóch godzin siedziałam u Pat. Zdażyłam jej przeczytać trzy bajki i właśnie otwierałam jedną z dwóch gier, które przyniosłam z domu, kiedy usłyszałam, że za moimi plecami otwierają się drzwi. Pomyślałam, że to pielęgniarka albo ktoś, kto przyszedł w odwiedziny do dziewczynki leżącej w tej samej sali co Pat, i zaczęłam rozstawiać na planszy pionki w kształcie żabek.

I wtedy usłyszałam jego głos. Brzmiał nieco inaczej, niż go zapamiętałam z wczorajszego czytania Cummingsa, ale był równie miękki i ciepły. - Cześć, dziewczyny.

Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętego Dennisa. Musiałam wyglądać na bardzo zaskoczoną, ponieważ od razu zaczął się tłumaczyć:

- Zadzwoiłem, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz, i twoja mama poinformowała mnie, że jesteś w szpitalu.

- Aha - rzuciłam. Ale to, co powiedział, nie tłumaczyło jeszcze, dlaczego uznał, że on również powinien się tu pojawić.

Moja mama nieraz mawiała, że należę do osób, których myśli można łatwo odczytać z twarzy. Ona z pewnością potrafiła to robić i muszę przyznać, że czasami bardzo mi to przeszkadzało. Sądziłam jednak, że nie dzieje się tak dlatego, iż moja twarz jest bardziej sugestywna niż twarze innych ludzi, lecz po prostu dlatego, że matka jako psychoterapeutka widzi więcej niż inni.

Tego dnia po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może jednak chodzi o moją twarz, i postanowiłam w przyszłości starać się panować nad jej wyrazem. Byłam pewna, że Dennis wiedział, o czym myślę, gdy po chwili dodał: - No i twoja mama wspomniała jeszcze, że Pat pytała o mnie.

Zastanawiałam się, czy nie wymyślił sobie tego na poczekaniu, ale kiedy spojrzałam pytająco na siostrę, ta pokiwała głową, po czym zwróciła się do Dennisa: - Pytałam mamę, czy ty też mnie odwiedzisz. - No pewnie - powiedział. - I zobacz, co ci przyniosłem.

Kiedy popatrzyłam na Pat, doszłam do wniosku, że nieukrywanie własnych myśli musi być u nas rodzinne. Gdy zobaczyła prezent, komplet mazaków, jej twarz wyrażała takie rozczarowanie, że aż zrobiło mi się za nią wstyd. Dennis roześmiał się.

- Myślisz pewnie, że to są takie zwykłe mazaki.

- A nie są?

- Pewnie że nie.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi; według mnie, były to najzwyklejsze mazaki na świecie, z tych trochę grubiej piszących. Ale oczy mojej siostry rozbłysły z zaciekawienia.

- Wiesz, do czego one służą? - spytał Dennis.

Moja siostra pokręciła głową.

- Podoba ci się ten biały gips? - Wskazał na jej zawieszoną na wyciągu nogę. - Nudny, prawda?

- Już wiem! - zawołała Pat. - To są mazaki do malowania na gipsie!

- Właśnie.

- Namalujesz mi coś? - zapytała zachwycona.

- Pewnie. Po to je tu przyniosłem. Co byś chciała?

- A co umiesz namalować?

- Wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Chińskiego smoka.

- Chińskiego smoka, mówisz...? No to niech będzie chiński smok - powiedział i zaczął wyjmować mazaki z opakowania.

- Zaraz - powstrzymałam go. Pamiętam, że kiedy ja miałam nogę w gipsie, też prosiłam wszystkich, którzy mnie odwiedzali, żeby coś na nim narysowali, nie byłam jednak pewna, jak zareagują na to tutejsi lekarze i pielęgniarki. - Chyba trzeba by było kogoś zapytać.

- Myślisz, że ktoś mógłby mieć coś przeciwko temu? - zdziwił się Dennis.

- Może poszukam jakiejś siostry.

Nie musiałam szukać; kiedy wstawałam z krzesła przy łóżku, do sali weszła pielęgniarka.

Ani ja, ani Dennis nie zdążyliśmy się nawet odezwać; Pat potrafiła sama zadbać o swoje sprawy.

- Mogę mieć na gipsie chińskiego smoka, prawda? - zwróciła się do pielęgniarki.

Ta w pierwszej chwili nie wiedziała, o co chodzi, ale kiedy Dennis pokazał jej mazaki, uśmiechnęła się i skinęła głową.

Gdy wyszła, z zapalem zabrał się do pracy. Pat czasami pomagała mu w wyborze kolorów, ale poza tym zostawiła mu pełną swobodę. Patrzyła z zachwytem, jak gips pokrywa się różnymi odcieniami zieleni, czerwieni i fioletów.

Jeśli chodzi o chińskie smoki, nie można jej było zadowolić byle czym. Kiedy jako dwuletnie dziecko była po raz pierwszy w chińskiej restauracji, zakochała się w tych barwnych wschodnich stworach i ta fascynacja pozostała jej do dziś. W jej pokoju wisiało

kilka bardzo ładnych obrazków przedstawiających smoki, a ten, który właśnie wychodził spod ręki Dennisa, w niczym im nie ustępował.

Byłam zachwycona nie mniej niż moja siostra. Nie mogłam się nadziwić, że ktoś, kto czyta wiersze Cummingsa, potrafi jeszcze tak rysować.

W pewnym momencie oderwał się od pracy, zerknął w bok i przyłapał mnie na tym, że się przyglądam - nie chińskiemu smokowi, który przybierał na gipsie coraz wyraźniejsze kształty, lecz jemu.

Speszona, uciekłam przed nim wzrokiem i pilnowałam się, żeby skupić się wyłącznie na jego barwnym malowidle.

Nie było to proste, ponieważ intrygował mnie coraz bardziej.

- No i jak, zadowolona? - zapytał, kiedy skończył.

- Pewnie. To najładniejszy z moich smoków - odparła Pat, a po chwili zwróciła się do mnie: - Myślisz, że kiedy zdejmą mi gips, mama pozwoli zawiesić go na ścianie w moim pokoju?

- Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu - odpowiedziałam i nie dodałam, że najchętniej zawiesiłabym go u siebie.

Przez jakiś czas przyglądała się jeszcze smokowi, po czym sięgnęła do stosu książek na stoliku przy łóżku i wybrała jedną.

- Przeczytasz mi jeszcze bajkę? - zapytała.

- Dobrze - rzuciłam i zanim zdążyłam pomyśleć, dodałam: - Ale może poprosisz Dennisa.

Coś mi się wydaje, że on czyta bajki lepiej niż ja.

Tak bardzo chciałam posłuchać jego głosu, że nie mogłam się powstrzymać przed powiedzeniem tego.

Nie protestował. Wziął książkę i zaczął czytać, a ja usiadłam tak, żeby mnie nie widział, zamknęłam oczy i słuchałam go.

Gdy zamilkł, pomyślałam, że zrobił tylko dłuższą przerwę dla nabrania oddechu, ale cisza się przedłużała, więc w końcu uniosłam powieki.

Wciąż trzymał książkę na kolanach, nie patrzył jednak na nią, tylko na mnie. Przez chwilę nie byłam w stanie się poruszyć, potem uśmiechnęłam się, próbując nie okazać, jak bardzo jestem speszona.

- Uśpiłem was obie - powiedział, pokazując Pat, która spała już w najlepsze.

- Nie, mnie nie - zapewniłam go i natychmiast zgaśniłam się w duchu za głupotę. Z dwojga złego, lepiej by było, gdyby sądził, że zasnęłam, niż wiedział, że z zamkniętymi

oczami wsłuchiwałam się w jego głos.

- Nie masz ochoty napić się czegoś? - odezwał się prawie szeptem, żeby nie obudzić mojej siostry.

Skinęłam głową, na palcach wyszliśmy z sali i ruszyliśmy długim korytarzem.

- Chcesz czekoladę czy może coś zimnego? - zapytałam, kiedy doszliśmy do automatów z napojami. - Bo dzisiaj ja stawiam. - Chciał chyba na ten temat dyskutować, ale mu nie pozwoliłam. - Wczoraj ty, dzisiaj ja.

- W porządku. Może być cola.

Kupiłam dwie puszki.

- Zamierzasz długo zostać u siostry? - spytał, kiedy usiedliśmy na fotelach w holu.

- Poczekam, aż pojawią się rodzice. - Popatrzyłam na zegarek. Było kilka minut po trzeciej, a mama mówiła, że przyjdą przed czwartą. - Powinni być za niecałą godzinę.

Przyszło mi do głowy, że dokąś się śpieszy i nie bardzo wie, jak się wycofać, postanowiłam więc mu pomóc.

- Ale ty dość się tu nasiedziałeś - powiedziałam.

- Nie powiedziałem Pat do widzenia.

- Pożegnam ją od ciebie.

- Chcesz się mnie pozbyć, prawda?

Chciałam i nie chciałam. To, co powinnam zrobić, walczyło we mnie o lepsze z tym, na co miałam ochotę, ale do tego nie mogłam się przyznać.

- Nie, tylko potrafię sobie wyobrazić setki miejsc, które bardziej się nadają na przyjemne spędzenie piątkowego wieczoru i sobotniego popołudnia niż szpital, a ty wczoraj i dzisiaj przesiedziałeś tu już tyle godzin, że zaczynam mieć wyrzuty sumienia.

Rzeczywiście miałam wyrzuty sumienia, tyle że z zupełnie innego powodu. Siedziałam z chłopakiem mojej przyjaciółki i tak naprawdę wcale nie chciałam, żeby sobie poszedł.

- Nie przesadzaj, każdy by to zrobił - rzucił, wzruszając ramionami.

- Nie, nie każdy. Możliwe, że gdyby to ktoś inny przejeżdżał wczoraj Chester Avenue, to być może pomógłby mi dostarczyć ją do szpitala, ale na pewno nie siedziałby tu potem ze mną, nie podtrzymałby mnie na duchu, nie odwiózł do domu...

Dennis nie dał mi skończyć.

- Nie jestem przecież kimś zupełnie obcym.

- Wiem, jesteś chłopakiem mojej przyjaciółki - powiedziałam.

„*Jesteś chłopakiem mojej przyjaciółki*”, dźwięczało mi w uszach. Te słowa zawisły w powietrzu.

Miałam wrażenie, że każde z nas zastanawia się nad ich znaczeniem. Zamilkłam i miałam nadzieję, że to on odezwie się pierwszy, żeby przerwać tę dziwną ciszę. Kiedy na niego zerknęłam kątem oka, przyszło mi do głowy, że on czeka, aż to ja coś powiem.

Kto wie, jak długo byśmy tak czekali, gdyby w holu nie pojawili się moi rodzice. Przedstawiłam ojcu Dennisa, po czym oboje, mama i tata, zaczęli mu dziękować. Tyle było tych wyrazów wdzięczności, że aż się zaczerwienił. - Co z Pat? - zapytała w końcu matka.

- Zasnęła kilka minut temu, więc wyszliśmy, żeby się czegoś napić - odparłam. - Wrócisz do domu? - Mogę jeszcze zostać.

- Nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli wszyscy - rzekł tata. - Skoro Pat śpi, mógłbym cię podrzucić teraz do domu, i zanim się obudzi, będę z powrotem. - Przecież ja mogę ją podwieźć - wtrącił się nieśmiało Dennis.

Powinłam zdecydowanie powiedzieć nie, ale stałam tam i słuchałam, jak mój tata mówi, że już i tak zbyt dużo dla nas zrobił, a tamten odpowiada mu, że podwiezienie mnie to dla niego żaden problem, potem tata pyta, czy na pewno, Dennis zapewnia, że tak, tata jeszcze raz daje mu możliwość wycofania się, a on z niej nie korzysta.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że naprawdę się ucieszyłam, kiedy ustalili, że jadę z Dennisem, a nie z ojcem.

- Ach, Amy! - zawołała mama, kiedy zmierzaliśmy już do wyjścia ze szpitala. - W lodówce jest dla ciebie lancz. - Może zaprosisz Dennisa?! Starczy dla dwojga!

Zerknęłam na niego. Kiedy zobaczyłam jego przerażoną minę, omal nie parsknęłam śmiechem.

- Dennis na pewno chętnie skorzysta z zaproszenia! - zawołałam do niej, z trudem zachowując powagę.

Roześmiałam się dopiero, kiedy wyszliśmy na zewnątrz. Wtedy znowu ktoś mnie zawołał. Tym razem był to ojciec. Wybiegł ze szpitala i włożył mi coś do kieszeni.

- Nie jedzcie tego - powiedział, rozglądając się na boki jak ktoś, kto się boi, że zostanie przyłapany na gorącym uczynku. - Zamówcie sobie pizzę albo coś z chińskiej restauracji. Dopiero teraz zobaczyłam, że wcisnął mi do kieszeni dwie dwudziestodolarówki.

- Naprawdę myślisz, że zamierzałam to zjeść, cokolwiek to jest?

- Nie przypominaj mi tego - poprosił, wzdragając się z obrzydzenia, i po chwili zniknął już za drzwiami szpitala.

Dennis patrzył na tę scenę mocno zaskoczony. Kiedy zostaliśmy sami, zaczął się śmiać. - To nie jest śmieszne - powiedziałam z udawanie poważną miną. - To jest romantyczne. - Romantyczne? Jeśli tak, to ja mam wypaczone pojęcie o romantyczności. - Chciałabym, żeby ktoś kochał mnie kiedyś aż tak bardzo, żeby, tak jak mój tata, zjadał dla mnie bez słowa te wszystkie paskudztwa.

To miało zabrzmieć dowcipnie i może nawet tak zabrzmiało, tylko potem pomyślałam, że raczej nie powinnam mówić o tym, jak to chciałabym, żeby ktoś mnie kochał. Słowo „kochać”, w jakiegokolwiek formie bym go użyła, było przy nim zbyt niebezpieczne i powinnam go unikać jak ognia. Skupiłam się więc tylko na jedzeniu.

- Ojciec zafundował nam lancz - powiedziałam. - Możemy sobie albo coś zamówić, albo zjeść na mieście. Co wolisz? - A na co ty masz ochotę?

Zastanawiałam się, gdzie będę się czuła zręcznie, w domu czy w restauracji, lecz nie byłam w stanie tego rozstrzygnąć. Potem zadałam sobie inne pytanie: Czy Sharon, wiedząc, że mam iść na lancz z jej chłopakiem, wolałaby, żebyśmy zjedli na mieście, czy coś sobie zamówili? Na to pytanie również nie potrafiłam odpowiedzieć, więc sformułowałam je nieco inaczej: Co mnie odpowiadałoby bardziej, gdyby Dennis był moim chłopakiem, a moja najlepsza przyjaciółka miałaby zjeść z nim lancz?

Przynajmniej tu znałam odpowiedź i to jednoznacznie. W ogóle nie chciałabym, żeby szedł z nią na lancz - ani do restauracji, ani do domu, ani nawet do szkolnej stołówki. Wniosek nasuwał się jeden. Gdybym była lojalną przyjaciółką, pożegnałabym się w tym momencie z Dennisem i pojechałabym do domu autobusem. Mogłabym mu nawet wcisnąć jeden z dwóch dwudziestodolarowych banknotów, które dostałam od ojca, i powiedzieć, żeby poszedł sobie na lancz, gdzie chce.

Nie byłoby to z pewnością zbyt eleganckie, ale lepiej być nieeleganckim wobec kogoś, kogo się zna od niedawna, niż nielojalnym wobec kogoś, z kim się przyjaźni od lat. Czułam się jak zdrajczyni, a mimo to nie wycofałam się.

- Ja pytałam pierwsza - powiedziałam. - Ty zadecyduj.

- Może pójdziemy gdzieś na pizzę? Chyba że wolisz chińskie jedzenie?

- Nie, idziemy na pizzę. Przy Barclay Street otworzyli nową pizzerię. Jeszcze tam nie byłam, ale słyszałam, że jest nie najgorsza. To niedaleko od mojego domu.

- No to jedziemy.

W samochodzie żadne z nas nie było zbyt rozmowne. Ja zastanawiałam się nad tym,

jak zareaguje Sharon, kiedy opowiem jej o wszystkim. Bo nie zamierzałam przed nią niczego ukrywać. Nie wyobrażałam sobie wprawdzie, że przyznam się do tego, jak bardzo zafascynował mnie jej chłopak, lecz co do faktów postanowiłam być uczciwa.

Czułam w głębi serca, że to żadna uczciwość, bo tak naprawdę nie chodziło o fakty - o to czy Dennis odwozi mnie do domu, czy nie, czy jemy lancz w pizzerii, czy w chińskiej restauracji.

Chodziło o to, co wisiało w powietrzu, o to, jak ja i Dennis uciekaliśmy w popłochu wzrokiem, kiedy nasze spojrzenia na chwilę się zetknęły, o wiersze Cummingsa, o niewypowiedziane słowa, o niedokończone gesty.

Ucieszyłam się, że w końcu zdecydowaliśmy się na pizzerię przy Barclay Street. Jak na niedawno otwarty lokal, było w niej niezwykle tłoczno. Musieliśmy wprawdzie kilka minut czekać, aż zwolni się stół, ale kiedy przyniesiono nam zamówione pizze, okazało się, że było warto.

Najważniejsze było jednak to, że w panującym tam hałasie nie było nic z atmosfery intymności, której tak się bałam.

Rozmowa wreszcie zaczęła nam się kleić. Dennis, który był starszy ode mnie o rok i w tym roku kończył liceum, opowiadał, na jakie uczelnie składa papiery, ja mówiłam o swoich, trochę bardziej odległych w czasie, planach.

Gdy kończyliśmy pizze, pomyślałam, że może moje wcześniejsze obawy były bezsensowne.

Wyobraziłam sobie, że zaprzyjaźnię się z Dennisem. Może nawet będziemy umawiać się we czwórkę - ja, Pit, Sharon i on - i miło spędzać razem czas.

Kiedy snułam te plany, poczułam w kieszeni wibrowanie telefonu komórkowego. Dzwonił Pit; chciał się upewnić, czy nic się nie zmieniło co do naszego spotkania. Nie wiedział jeszcze nic o wypadku Pat, ale nie chciałam o tym teraz mówić. Powiedziałam, że będę na niego czekać, tak jak ustaliliśmy poprzedniego dnia, o siódmej, przerwałam połączenie i schowałam telefon do kieszeni.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Dennisa i zrozumiałam, że mogę zapomnieć o miłym spędzaniu czasu we czwórkę.

- To był mój chłopak, Pit - powiedziałam. - Wybieramy się dzisiaj do kina.

- Pewnie się spieszysz.

Popatrzyłam na zegarek.

- Nie, mam jeszcze ponad godzinę. O czym to ja mówiłam? - Pamiętałam, że to ja opowiadałam o czymś, kiedy zadzwonił telefon, ale zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć

o czym.

Rozmowa znów zaczęła kuleć, poczułam więc ulgę, kiedy wyszliśmy z pizzerii.

W samochodzie Dennis włączył radio i nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

- Dzięki za podwiezienie - powiedziałam, kiedy zatrzymał się pod moim domem. - I za wszystko - dodałam, wysiadając.

Ruszyłam już w stronę wejścia, ale odwróciłam się i pomachałam do niego ręką.

Opuścił szybę i wystawił głowę.

- Baw się dobrze dziś wieczorem! - zawołał.

Zobaczyłam w jego oczach coś dziwnego.

Kilka tygodni później wiedziałam już, co to jest, ponieważ czułam to samo zawsze, kiedy widziałam ich razem z Sharon.

Weszłam do domu i przez chwilę stałam w przedpokoju.

Nagle poczułam, że nie chcę się dzisiaj spotykać z Pitem. Zadzwoiłam do niego i odwołałam spotkanie. Był trochę rozczarowany, ale kiedy opowiedziałam mu o wypadku Pat, nie nalegał.

Poszłam do swojego pokoju, usiadłam w fotelu przy łóżku i sięgnęłam po Cummingsa.

Próbowałam dodzwonić się do Sharon jeszcze w niedzielę. Sama nie wiem dlaczego, ale wolałam, żebym to ja, a nie Dennis, opowiedziała jej pierwsza o tym, co działo się w piątek i sobotę. Wróciła jednak z weekendowej wyprawy późnym wieczorem i miałam okazję z nią porozmawiać, dopiero kiedy w poniedziałek spotkałyśmy się w szkole. Nic jeszcze nie wiedziała o wypadku Pat. - Dennis ci o tym nie powiedział? - zdziwiłam się.

- W ogóle nie rozmawiałam z nim po przyjeździe z gór. Dotarliśmy do domu przed dwunastą. Spotkałam go na korytarzu przed pierwszą lekcją, ale oboje tak się spieszyliśmy, że nie mieliśmy czasu zamienić słowa.

Słuchała przejęta o tym, co zdarzyło się z Pat, a kiedy w swojej opowieści dotarłam do miejsca, w którym pojawiał się Dennis, aż otworzyła usta z zaciekawienia. Gdy mówiłam o jego odwiedzinach w szpitalu i o tym, jak potem poszliśmy na pizzę, przyglądałam jej się bacznie. Mogłabym jednak przysiąc, że nic, absolutnie nic, nie obudziło jej czujności. - Boże, jakie to szczęście, że to akurat Dennis przejeżdżał wtedy Chester Avenue - powiedziała, kiedy skończyłam.

- Naprawdę mi pomógł, tam, w parku, i potem w szpitalu. No i Pat bardzo go polubiła. - Nie dodałam, że ja również. Sharon uśmiechnęła się.

- Tak, Dennis jest fantastyczny - oznajmiła z dumą. - Ale już ci to kilka razy mówiłam. Nie pamiętam, żebym kiedyś słyszała od niej te słowa, lecz możliwe, że puściłam je mimo uszu. Do tej pory nie byłam tak wyczulona na wszystko, co go dotyczyło; teraz wystarczyło, że ktoś wypowiedział jego imię, a już napinał się we mnie każdy nerw.

- Kiedy wybierasz się w odwiedziny do Pat? - spytała, gdy rozległ się dzwonek i musiałyśmy się rozejść każda do innej sali.

- Dzisiaj mi się nie uda, ale jutro pójdę na pewno. A co, chciałabyś iść ze mną? - Pewnie, muszę przecież zobaczyć to arcydzieło na gipsie. - Zamyśliła się na chwilę. - Wiesz, że nie miałam pojęcia, że Dennis umie rysować.

- No to jutro się przekonasz. A przy okazji Pat na pewno się ucieszy z twoich odwiedzin.

Kiedy odeszła, stałam na korytarzu, zastanawiając się, czego jeszcze nie wie o swoim chłopaku. Tego, że czytuje wiersze Cummingsa? Byłam niemal pewna, że tego nie wie. Jakie to dziwne, pomyślałam. Gdyby był moim chłopakiem...

Nie dokończyłam tej myśli, uświadomiłam sobie bowiem, że jest ona przejawem

okropnej nielojalności wobec Sharon.

A ona była dla mnie taka dobra, taka ufna. I taka ładna, przemknęło mi przez głowę, kiedy spojrzałam za nią i zobaczyłam, jak idzie lekkim krokiem korytarzem. Była zgrabna, wysoka.

Ze swoim wzrostem dobrze przekraczającym metr siedemdziesiąt zdecydowanie bardziej pasuje do Dennisa niż ja, pomyślałam i natychmiast się zbesztalam za to, że w ogóle próbuję wyobrazić sobie siebie w roli jego dziewczyny.

Nazajutrz miałam zaraz po lekcjach kółko teatralne, a Sharon chciała pochodzić po mieście, żeby znaleźć jakiś prezent dla mojej siostry. Umówiliśmy się przed szpitalem.

Zajęcia kółka przeciągnęły się o prawie kwadrans, dotarłam więc na miejsce spóźniona.

Czekała na mnie, ale nie sama; u jej boku stał Dennis.

- Cześć, przepraszam za spóźnienie - wysapałam, bo biegłam od przystanku autobusowego.

- Cześć, Amy - powiedział, uśmiechając się. - Sharon powiedziała mi, że idzie z tobą odwiedzić Pat, więc postanowiłem wpaść i zobaczyć, jak się miewa chiński smok.

Nie byłam przygotowana na to, że go zobaczę. Wpadłam w popłoch; bałam się, że zrobię albo powiem coś, co wyda się Sharon podejrzanym. Spróbowałam uśmiechnąć się najbardziej naturalnie, jak potrafiłam, ale Dennis coś zauważył.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - zapytał niepewnym głosem.

- Jasne, że nie. No to chodźmy - rzuciłam i zniknęłam w obrotowych drzwiach szpitala tak szybko, że nie zdążyli wejść za mną. Musieli czekać, aż drzwi obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, co dało mi kilka sekund na ochłonięcie.

Pat aż zaklaskała w dłonie, widząc naszą trójkę. Ucieszyła się z pluszowego prosiaczka, którego przyniosła jej Sharon, widziałam jednak, że największą radość sprawiło jej pojawienie się Dennisa.

- Nie doczytałeś do końca bajki - powiedziała i sięgnęła po książkę. - Dokończysz dzisiaj?

- Dobrze, tylko najpierw muszę sprawdzić, jak się miewa smok. Może mu trzeba coś dorysować?

Sharon stała tymczasem nad gipsem i kręciła z podziwem głową.

- Dennis, nigdy mi nie mówiłeś, że potrafisz tak malować.

- Tylko chińskie smoki - odparł, wzruszając ramionami.

- I jeszcze umie czytać bajki, lepiej nawet niż mój tata - pochwaliła go Pat. Było to nie

byle jakie wyróżnienie. Kiedy ojciec był w domu, moja siostra nie zgadzała się, żeby ktokolwiek inny czytał jej na dobranoc.

- No, proszę, proszę - rzuciła Sharon i popatrzyła z dumą na swojego chłopaka.

- Tyle tylko, że przy tym moim czytaniu wszyscy zasypiają - rzekł Dennis. - Nawet Amy zasnęła przy tej bajce.

- Naprawdę zasnęłaś? - zwróciła się do mnie Sharon.

Uśmiechnęłam się tylko. Nie chciałam zaprzeczać; lepiej żeby myślała, że głos jej chłopaka usypia mnie, a nie budzi całkiem inne emocje.

Posiedzieliśmy u Pat ponad godzinę, a potem Dennis zaproponował, że mnie podrzuca.

Kiedy wysiadłam, zamiast iść od razu do domu, stałam i patrzyłam, jak samochód, w którym zostali sami, znikną za rogiem ulicy. Poczułam ukłucie zazdrości. Wiedziałam, że nie mam prawa go odczuwać, ale to było silniejsze ode mnie.

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie w pełni, że to wszystko zaczęło mi się wymykać spod kontroli.

Minęły trzy tygodnie od wypadku Pat. Nogę wciąż miała w gipsie, ale od pięciu dni była w domu. Wszyscy żyli przygotowaniami do Bożego Narodzenia. Wszyscy poza mną, bo ja żyłam Dennisem.

Każda moja myśl krążyła wokół niego; nawet jeśli nie dotyczyła go bezpośrednio, to w jakiś sposób była z nim związana.

Nawet teraz, kiedy przypominałam sobie rozmowę, jaką przed godziną przeprowadziłam z Pitem, wiedziałam, że prawdopodobnie nie doszłoby do niej, gdyby nie Dennis. Dennis nie był niczemu winien; nie wiedział nawet, że zerwałam ze swoim chłopakiem. To ja nie potrafiłam zapanować nad emocjami. W ciągu minionych dwóch, trzech tygodni widywałam go w szkole i z każdym dniem byłam nim coraz bardziej zafascynowana. Powtarzałam sobie, że to tylko fascynacja, która minie, i broniłam się przed nazwaniem moich uczuć inaczej.

A jednak dzisiaj, kiedy Pit zapytał, dlaczego nie chcę się z nim więcej spotykać, na usta cisnęła mi się prosta odpowiedź: bo jestem zakochana w kimś innym. Nie powiedziałam mu tego oczywiście.

Siedzieliśmy nad shake'ami w małym bistro w centrum handlowym. W poprzednie dwie soboty wykręciłam się od spotkania z nim, tłumacząc się siostrą, którą muszę odwiedzać w szpitalu. Chodziłam do niej, ale w południe i tylko na godzinę, dwie, a to z pewnością nie przeszkodziłoby mi wybrać się z Pitem wieczorem do kina.

Mogłam również w ten weekend znaleźć jakiś pretekst, ale nie zasługiwał na to, żebym go oszukiwała. Rozglądałam się właśnie w centrum handlowym za prezentami na gwiazdkę, kiedy zadzwonił, żeby umówić się na wieczór. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu od razu, że nie będę się z nim więcej spotykać, ale wiedziałam, że takich rzeczy nie powinno się załatwiać przez telefon. Poprosiłam go, żeby przyjechał, jeśli może, i kwadrans później był już w centrum handlowym.

Kiedy zapytał, dlaczego, chwilę się zastanawiałam, zanim mu odpowiedziałam. - Bo widzisz, spotykając się z tobą, nigdy nie miałam wrażenia, że jesteś tym jedynym. - Nie oczekiwałam od ciebie, że obiecasz mi, że będziesz ze mną do końca życia i nie spotkasz się już nigdy z nikim innym. - Wiem. Ale jesteś fantastycznym chłopakiem. - Nie takim znowu fantastycznym, skoro...

- Nie, Pit, naprawdę tak myślę. I zasługujesz na to, żeby dziewczyna, która się z tobą

spotyka, była przekonana, że jesteś tym jedynym, niezależnie od tego, jak potem potoczą się jej losy.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy on myśli o mnie jako o tej jedynej. Miałam nadzieję, że nie. Naprawdę nie chciałam sprawiać mu bólu.

Pit zamieszał słomką w swoim shake'u, po czym podniósł głowę i zapytał:

- Myślisz, że znajdziesz kiedyś takiego chłopaka?

- Nie wiem - odparłam i było to pierwsze kłamstwo w czasie tej rozmowy.

Prawda bowiem była taka, że już go znalazłam.

A to, że wiedziałam, iż nigdy nie będzie moim chłopakiem, było już zupełnie inną sprawą.

Kiedy rozstawałam się z Pitem, był smutny i trochę urażony, mimo to poczułam się lepiej.

Przynajmniej przed nim nie musiałam dłużej udawać, a miałam już naprawdę dosyć udawania - przed Sharon, przed Dennisem, przed sobą.

Posnułam się jeszcze pół godziny po sklepach, a w końcu doszłam do wniosku, że nie jestem w nastroju do zakupów. A że do Bożego Narodzenia zostało pięć dni, uznałam, że mam jeszcze trochę czasu, i wróciłam do domu bez żadnych prezentów.

W kuchni zastałam ojca. Na blacie leżały różne produkty - warzywa, mięso, makaron. Był to dla mnie prawdziwy szok; czegoś takiego nigdy tam jeszcze nie było. Podeszłam bliżej i dotknęłam marchewki, żeby się upewnić, że to prawdziwa świeża marchewka, a nie jakaś atrapa. Nie do końca przekonana, powąchałam jeszcze i to samo zrobiłam potem z cebulą, pietruszką, porem i selerem. Pomidory sobie darowałam; jedliśmy je do kanapek, więc nie były w naszej kuchni czymś tak zaskakującym jak pozostałe warzywa.

- Niemożliwe, prawdziwe świeże warzywa. - Popatrzyłam na ojca, który stał nad stołem, pochylony nad jakąś książką. - Co robisz?

- Uczę się gotować.

- Co?

- Długo nad tym myślałem i doszedłem do wniosku, że nie mam innego wyjścia.

- A co na to mama?

- Jeszcze o tym nie wie.

Podeszłam do niego i zajrzałam mu przez ramię. Gruba książka kucharska była otwarta na stronie z przepisem na spaghetti po bolońsku.

- Chcesz to dzisiaj zrobić?

- Owszem, taki mam zamiar.

- Masz wszystko, czego potrzebujesz?

- Wygląda na to, że tak - odparł, nie podnosząc wzroku znad książki.

To niesamowite, tata zabierał się za przyrządzanie jednej z najbardziej popularnych potraw, a ja miałam wrażenie, że wkrótce w naszej kuchni będzie miało miejsce jakieś niezwykle misterium, i nagle zapragnęłam wziąć w nim udział. I tak nie miałam nic lepszego do roboty, a w ten sposób mogłam przynajmniej spróbować przestać myśleć o Dennisie.

- Nie chcesz, żebym ci pomogła? - zapytałam.

- Jeśli masz ochotę...

- Pójdę tylko się przebrać i zaraz wracam.

- Nic z tego - powiedziałam, zwróciwszy z przedpokoju. - Przecież my nie mamy nawet garnków. Nie da się chyba ugotować spaghetti w naczyniu do mikrofalówki.

- Spokojna głowa. O wszystkim pomyślałem. - Podszedł do zmywarki i ją otworzył.

Wydobywały się z niej jeszcze kłęby pary, ale kiedy opadła, zobaczyłam, że cała jest wypełniona błyszczącymi metalowymi naczyniami.

- Kupiłeś nawet garnki?

- Cały komplet. I jeszcze komplet porządnych noży.

- Dobrze mieć przynajmniej jednego praktycznego rodzica.

- Ani jednego złego słowa o mamie - powiedział z udawaną groźną miną.

Może i nie szło nam najsprawniej, ale półtorej godziny później wszystkie warzywa były już posiekane i dusiły się w rondlu razem z mieloną wołowiną. Tata stał nad kuchenką i pilnował, żeby się nie przypaliło, a ja zaglądałam do książki kucharskiej, żeby sprawdzić, co dalej.

- Utrzeć parmezan - przeczytałam, krzywiąc się. - A nie można by bez parmezanu?

- Oczywiście, że nie. I nie wybrzydź, bo to jest najlepszy parmezan, jaki mieli w sklepie.

Podniosłam do nosa kawałek twardego sera i zdziwiłam się, że jego zapach, choć ostry, nie miał nic wspólnego z paskudną wonią potraw z dodatkiem parmezanu, które tak wspaniale potrafiła rozmrażać moja mama.

- I czym niby mam to utrzeć? - spytałam.

- O tym również pomyślałem - powiedział, podając mi tarkę.

Właśnie próbowaliśmy sos, i zastanawialiśmy się, czy nie dodać jeszcze soli, kiedy wróciła mama, która tak jak ja miała robić dzisiaj przedświąteczne zakupy, tyle tylko, że sądząc po liczbie toreb, które zauważyłam, kiedy przechodziła koło kuchni, że znacznie lepszym rezultatem. Patrząc, jak się przemyka, wiedziałam, że to prezenty.

W każdym razie do kuchni przyszła tylko z jedną małą torebką i już od progu zawołała:

- Zgadnijcie, co przyniosłam?

- Heerbaate - odpowiedzieliśmy z ojcem zgodnym chórem.

- Skąd wiedzieliście? - Najśmieszniejsze było to, że naprawdę wyglądała na zaskoczoną naszą domyślnością. - Specjalną świąteczną - dodała. - O zapachu choinki? - spytałam.

Nie dowiedziałam się, jaki to nowy wynalazek kupiła w sklepie z herbatami moja mama, ponieważ zanim zdążyła wyjąć go z torebki, zadzwonił telefon i pobiegłam go odebrać. To była Sharon. Ona i Dennis zamierzali iść do kina i pomyśleli, że może ja i Pit wybraliśmy się razem z nimi. Strasznie chciałam wiedzieć, które z nich pomyślało, bo niemożliwe, żeby zrobili to jednocześnie. Któreś musiało wysunąć tę propozycję. Sama nie wiem, dlaczego było to dla mnie takie ważne.

- No i co ty na to? - zapytała Sharon. - Niezły pomysł, prawda? - Może i niezły, ale ja nie spotykam się już z Pitem. Sharon była bardzo zaskoczona; odezwała się dopiero po dłuższej chwili. - Nic mi o tym nie mówiłaś. - Bo to jest dosyć świeże - odparłam. - Od kiedy? - Co od kiedy?

- No, od kiedy się nie spotykacie? - Od dzisiaj.

- Pokłóciliście się? - Po jej głosie słychać było, że bardzo się tym przejęła. Nic dziwnego, że się przejęła - była prawdziwą przyjaciółką. W przeciwieństwie do mnie. - Nie, nie pokłóciliśmy się - powiedziałam. - To dlaczego już się nie spotykacie?

Wiedziałam, że wcześniej czy później zada mi to pytanie, ale zupełnie nie byłam przygotowana na odpowiedź.

Mogłam albo powiedzieć, że kocham się w jej chłopaku, albo powtórzyć to, co mówiłam kilka godzin wcześniej Pitowi. Najuczciwsze byłoby to pierwsze rozwiązanie, wiedziałam jednak, że się na nie zdobędę. To drugie... Sama nie wiem, dlaczego z niego zrezygnowałam. - Pogadamy o tym w poniedziałek - rzuciłam. - Idź z Dennisem do kina i bawcie się dobrze. - Czułam się okropnie, kiedy to mówiłam, bo w głębi duszy wcale nie chciałam, żeby się dobrze bawili. - I dzięki, że o mnie pomyśleliście.

Mama poszła po Pat, która sama nie mogła się jeszcze poruszać po domu, a ja z ojcem nakrywałam stół do kolacji.

- I jak zareagowała? - spytałam, kiedy jej kroki oddaliły się w przedpokoju. - Powiedziałem jej, że nagle obudziło się we mnie pragnienie zrealizowania się w jakiejś nowej dziedzinie. - I myślisz, że w to uwierzyła? - Nie wiem.

- A nie mogłeś jej po prostu powiedzieć, że miałeś już dosyć jedzenia tego, co dla nas odmrażała?

- Musisz to koniecznie wiedzieć? - Nie muszę, ale chciałabym. - No więc nie mogłem.

- Rozumiem - rzuciłam i pokazałam na jedno z licznych haseł, które matka rozwieszała po całym domu. To było przyklejone do lodówki i brzmiało: „Większość konfliktów w rodzinie wynika z nieumiejętności komunikowania się”. Roześmialiśmy się oboje. - Ojej! - zawołałam. - Minęło już dziesięć minut.

Razem rzuciliśmy się do durszlaka, który tata również przezornie zakupił. Właśnie udało nam się wspólnymi siłami odcedzić spaghetti, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Kto to może być? - zdziwił się ojciec.

Przyszły mi do głowy dwie osoby, które często wpadały do nas bez uprzedzenia - babcia i Dolores, przyjaciółka matki. Tylko że ta pierwsza wyszła od nas kilka godzin wcześniej, było więc mało prawdopodobne, że to ona, a tę drugą można było zupełnie wykluczyć, ponieważ przed paroma dniami wyjechała do Meksyku i miała wrócić dopiero w nowym roku. - Pójdę otworzyć - powiedziałam, wycierając ręce.

Gdybym ujrzała przed drzwiami przybysza z kosmosu, nie byłabym chyba bardziej zdziwiona niż w chwili, kiedy zobaczyłam tam Sharon i Dennisa. Co więcej, prawdopodobnie okazałabym się bardziej gościnnie. - Mieliście przecież iść do kina.

- Tak, ale pomyśleliśmy, że może wpadniemy i albo posiedzimy trochę z tobą, albo spróbujemy cię gdzieś wyciągnąć.

Znowu to „pomyśleliśmy” - nie „ja pomyślałam” albo Dennis pomyślał - i znowu zaczęłam się zastanawiać, od którego z nich wyszedł ten pomysł.

- Jesteś pewnie w kiepskim nastroju, więc może...

Nie dokończyła, bo właśnie w tym momencie za moimi plecami rozległo się stukanie i nadeszła mama, prowadząca opierającą się na jej ramieniu Pat.

- O, Sharon i Dennis - powitała ich znacznie uprzejmiej niż ja. - Amy, dlaczego

trzymasz ich na progu? Wchodźcie do środka.

- No właśnie, wchodźcie - rzuciłam i dopiero teraz zauważyłam, że wiatr nawiał do środka mnóstwo śniegu.

Weszli i podczas, kiedy oni witali się z mamą i Pat, ja rozważałam, co zrobić - wziąć ich do swojego pokoju, wyjść z nimi na miasto, czy może im powiedzieć, że chcę zostać sama.

Dylemat rozstrzygnęła za mnie mama, która zaprowadziła Pat do kuchni i zawołała stamtąd:

- Zjecie z nami kolację, prawda?! Tyle tego jest, że ktoś nam musi pomóc!

Uśmiechnęłam się, widząc przerażenie na twarzy Dennisa.

- Spokojnie - szepnęłam. - Dzisiaj ja i tata przygotowaliśmy kolację.

- Ale my właśnie zamierzaliśmy wyciągnąć Amy na pizzę! - zawołała Sharon, która chyba nie usłyszała, co mówiłam. Kochana Sharon. Od dawna знаła moje problemy z jedzeniem w domu i teraz próbowała mnie ratować.

- W porządku - powiedziałam. - Tata i ja zabraliśmy się dzisiaj za gotowanie i chyba nie najgorzej nam wyszło. Musicie spróbować.

Spaghetti okazało się pyszne, atmosfera miła i było nam tak wesoło, że zanim się zorientowaliśmy, minęła dziesiąta.

Kiedy wyszli, pomyślałam, że może uda mi się ukryć swoje uczucia do Dennisa, tak że ani Sharon, ani on nigdy się ich nie domyśla. Wydawało mi się, że tego dnia po raz pierwszy potrafiłam się zachowywać zupełnie naturalnie.

Ale, jak się wkrótce przekonałam, tylko mi się tak wydawało.

- Nie wiedziałam, że Dennis spotyka się z Sharon - powiedziała mama, gdy ojciec wyszedł z Pat z kuchni, a my zostałyśmy, żeby posprzątać.

Pamiętając o swojej twarzy, z której potrafiła czytać myśli, odwróciłam się i zaczęłam układać naczynia w zmywarce.

- Nie wspomniałam ci o tym? - Spokojnie, nakazałam sobie, słysząc brzęk talerza, który uderzył o drugi talerz. - Na pewno mówiłam.

- Chyba nie. Pamiętam, że w tę sobotę po wypadku Pat, kiedy zobaczyłam was razem w szpitalu, zastanawiałam się nawet, czy ty i on...

- Czy ja i Dennis...? - Znów brzęknęły talerze, tym razem jeszcze głośniejsze. - No wiesz!

- A cóż w tym takiego dziwnego?

- Jak to co? To że on jest chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki.

- Ale wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam.

- Musiałaś nie usłyszeć, kiedy ci go przedstawiałam w szpitalu. - Kolejne brzęknięcie naczyń niemal zagłuszyło moje słowa. - Zresztą nic dziwnego, byłaś tak zdenerwowana.

Doskonale pamiętałam, że nie powiedziałam jej wtedy, iż Dennis spotyka się z Sharon. I właściwie nie wiem, dlaczego teraz kłamałam; nie miało to przecież żadnego znaczenia.

Może czując, że mama domyśla się całej prawdy, próbowałam jakoś odwrócić jej uwagę od tego co istotne.

Jeszcze kilka razy brzęknęły talerze, w końcu zamknęłam zmywarkę.

- Chyba się już położę - powiedziałam i ziewnęłam, w swej naiwności licząc na to, że mama uwierzy, jak bardzo chce mi się spać. - Dobranoc.

- Amy.

- Tak? - Szłam już w stronę swojego pokoju. Zatrzymałam się, ale nie odwróciłam.

- Masz jakiś problem?

Do diabła z psychoterapeutkami, pomyślałam. Tak jakby nie mogła po ludzku zapytać, czy nie kocham się przypadkiem w chłopaku swojej przyjaciółki. Z drugiej strony, po co miała zadawać to pytanie? Znała przecież odpowiedź - byłam tego pewna.

- Nie, nie mam żadnego problemu - burknęłam i odeszłam.

Mam problem - powiedziałam niecałe dwa tygodnie później, w przedostatni dzień starego roku.

Wtedy też sprzątałyśmy po kolacji, przygotowanej przez tatę, który odkrył w sobie uśpiony dotąd talent do gotowania i naprawdę się rozszalał. Wynajdował przepisy na coraz bardziej wyrafinowane dania i muszę przyznać, że całkiem nieźle mu wychodziły. - Chcesz o nim porozmawiać?

Poczułam się tak, jakbym siedziała w jej gabinecie, i trochę mnie to zirytowało. - A sądzisz, że wspominałabym o nim, gdybym nie chciała? Aha, i jeszcze jedno. Jeśli liczysz na to, że skasujesz ode mnie pięćdziesiąt dolców, to muszę cię rozczarować. Wszystkie oszczędności wydałam na prezenty gwiazdkowe. A poza tym chciałam porozmawiać z tobą jak córka z matką, a nie jak pacjentka z psychoterapeutką.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rozmawia z tobą jak z pacjentką - zaprotestowała. - Akurat! - bąknęłam.

Nigdy jeszcze nie zwierzałam jej się ze swoich problemów sercowych i zupełnie nie wiedziałam, jak zacząć, a ona wcale mi w tym nie pomagała. Siedziała po przeciwnej stronie stołu i czekała, aż się odezwę.

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy była u nas na kolacji Sharon z Dennisem? - zaczęłam. Kiedy wyszli, spytałaś, czy mam jakiś problem? Powiedziałam, że nie... Skłamałam. - Przerwałam i czekałam na reakcję matki, lecz skinęła tylko głową. - Wiedziałam, jak trudno było przyznać się do tego przed sobą, ale wypowiedzenie tego głośno okazało się o wiele gorsze. - Zakochałam się w Dennisie. - Odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Chciałam, żeby matka coś powiedziała. Że jest rozczarowana moją nielojalnością wobec przyjaciółki. Albo że bardzo mi współczuje. Albo żebym się nie przejmowała, bo to minie... Cokolwiek.

Ona jednak nie odezwała się.

Mówiłam powoli, co chwila przerywając. Nie ukrywając niczego, powiedziałam o tym, jak na początku wydawało mi się, że to tylko przelotne zauroczenie, które szybko minie, a tymczasem przerodziło się w uczucie. O tym, że nie potrafię go już w sobie zdusić. O tym, jak podle się czuję wobec niczego nie podejrzewającej Sharon, która po moim rozstaniu się z Pitem, nie chcąc, bym czuła się zbyt samotna, spędzała ze mną znacznie więcej czasu niż kiedyś. I że zwykle towarzyszył nam wtedy jej chłopak, przez co jeszcze bardziej się w to

wszystko zaplątuję.

Sharon rzeczywiście przez ostatnie dwa tygodnie wciąż proponowała, żebym się z nimi gdzieś wybrała. Zdawałam sobie sprawę, że spędzanie z nimi czasu nie ułatwi mi odkochania się w jej chłopaku, ale trudno było mi odmawiać. Mając do wyboru widywać ich razem, albo nie widzieć go wcale, zawsze wybierałam to pierwsze.

Nawet jutrzejszy wieczór miałam spędzić u Dennisa, który w sylwestra obchodził urodziny i organizował imprezę. Nie jestem tego pewna, ale wydaje mi się, że to Sharon, która wiedziała, że nie mam innych propozycji, namówiła go, żeby mnie zaprosił.

- A ja jej tak odpłacam - powiedziałam i zakryłam twarz dłońmi.

- Jeszcze niczego nie zrobiłaś - zauważyła mama.

- Uważasz, że trzeba coś zrobić, żeby czuć się podle? - zapytała.

- Nie, oczywiście, że nie. I rozumiem, że jest to dla ciebie bardzo trudna sytuacja.

- Trudna?! - prychnęłam. - Jest beznadziejna. Bez wyjścia.

- Nie ma sytuacji bez wyjścia.

- Sama wiesz, że to nieprawda.

- Zgoda, nawet jeśli takie się zdarzają, to twoja na pewno taka nie jest.

- To jakie mam wyjście? Powiedz mi, proszę, jakie? Co mam zrobić?

- Nie mogę. Sama musisz podjąć decyzję.

Znowu się poczułam, jakbym była w jej gabinecie.

- Mamo, prosiłam cię, żebyś rozmawiała ze mną jak matka z córką. Wiem, że swoim pacjentom nie mówisz, co mają robić, ale mnie powiedz. Inne matki mówią.

- Amy, ale ja naprawdę nie wiem, jaką powinnaś podjąć decyzję, uwierz mi.

- A co ty byś zrobiła na moim miejscu? Tylko mi nie mów, że nie zakochałabyś się w chłopaku najlepszej przyjaciółki, to sama wiem.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Więc co byś zrobiła? - dopytywałam się, zdecydowana drażnić tak długo, aż mi odpowie.

- To by zależało od wielu rzeczy.

- Od jakich?

- Od tego, jak silne byłoby to uczucie. Od tego, czy moja przyjaciółka byłaby zakochana w swoim chłopaku. No i, przede wszystkim... - Mama zastanawiała się, jakby próbowała znaleźć odpowiednie słowa.

- No, od czego? - ponagliłam ją.

- Amy, wyobraź sobie, że Dennis spotyka się nie z Sharon, tylko z inną dziewczyną,

której albo nie znasz, albo jest ci całkowicie obojętna.

- Zbyt piękne, żebym mogła to sobie wyobrazić.

- Niekoniecznie. Twoje szanse wcale nie musiałyby być przez to większe.

- Jak to?

- No bo przecież gdyby był zakochany w tej swojej dziewczynie, pozostawałby poza twoim zasięgiem - wyjaśniła.

- Rozumiem, chciałaś mi po prostu jak najdelikatniej dać do zrozumienia, że Dennis kocha Sharon.

- Nie, nie wiem, czy ją kocha - sprostowała.

- A jak myślisz? - zapytałam.

- Amy, to ty spędzasz z nimi ostatnio mnóstwo czasu. Jeśli ty tego nie wiesz, to skąd, na miłość boską, ja mam to wiedzieć?

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie zastanawiałam się, czy Dennis jest zakochany w Sharon. Zastanawiałam się nad tym równie często, jak nad tym, czy ona kocha się w nim.

Miałam nawet sposobność, żeby się tego dowiedzieć. Kiedy rozmawialiśmy o moim zerwaniu z Pitem, powiedziałam, że postanowiłam przestać się z nim spotykać, ponieważ uświadomiłam sobie, że nie jestem w nim zakochana i prawdopodobnie nigdy nie będę.

Słyszając to, Sharon pokiwała głową ze zrozumieniem.

Wiedziałam, że nie trafi mi się lepsza okazja do zapytania jej o uczucia do Dennisa, mimo to nie wykorzystałam jej. Nie jestem pewna, czego obawiałam się bardziej - wzbudzenia jej podejrzeń czy usłyszenia, że jest w nim po uszy zakochana.

Będąc z nimi, obserwowałam ich bacznie, wyczulona na wszelkie przejawy uczuć - pocałunki, trzymanie się za ręce, czułe szepty. Byli w tym bardzo powściągliwi, ale to - tłumaczyłam sobie - niczego nie dowodziło. Sharon dostrzegła, że jestem ostatnio dosyć smutna i przypisywała to rozstaniu z Pitem, mogła więc umówić się z Dennisem, że będą unikać w moim towarzystwie czułych gestów.

Tak się nad tym zamyśliłam, że na chwilę zapomniałam, że po przeciwnej stronie stołu siedzi mama.

- Przepraszam - rzuciłam.

- Nie szkodzi. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że wtedy w szpitalu, wydawało mi się, że ty i Dennis jesteście parą.

Uśmiechnęłam się smutno.

- Pamiętam. Okropnie się na ciebie zdenerwowałam.

- No i nie dałaś mi dokończyć.

- Czego - zdziwiłam się.

- Posłuchaj, Amy, nie chcę, żebyś się sugerowała tym, co teraz usłyszysz. Wiedz, że mogę się mylić... - Przerwała, jakby się wahała, czy powiedzieć to, co zamierzała. - Otóż wtedy miałam wrażenie, że Dennis jest tobą zainteresowany. - Popatrzyła na mnie i natychmiast się zastrzegła: - Ale powtarzam, to było wrażenie i nie powinnaś z tego wyciągać żadnych wniosków. Wspomniałam o nim tylko dlatego, że chciałabym cię zapytać, czy ty dostrzegłaś jakieś oznaki zainteresowania twoją osobą. Czy...

- Mamo, Dennis nie jest świnią, która za plecami swojej dziewczyny podrywa jej przyjaciółkę!

- Nie denerwuj się tak. Nie podejrzewałam go o coś takiego.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to owszem, czasami wydaje mi się, że patrzy na mnie jakoś tak inaczej niż na zwykłą koleżankę, ale zrozumiem, ja jestem w nim zakochana, więc mogę widzieć to, czego nie ma. Tak się dzieje z zakochanymi ludźmi, prawda?

- Czasami - odparła matka.

- Widzisz, gdyby nie był chłopakiem Sharon, mogłabym mu dać jakiś sygnał, że mi się podoba, a tak nie mogę zrobić nic, zupełnie nic.

- Zawsze coś można zrobić.

- Co, mam się przyznać Sharon, że kocham się w jej chłopaku?

- No, jest to jedna z możliwości.

- Myślisz, że po czymś takim nasza przyjaźń by przetrwała?

- Nie wiem. Jeśli jest to prawdziwa przyjaźń, to wydaje mi się, że tak. Ale pamiętaj, Amy, ja nie powiedziałam ci, że masz to zrobić, powiedziałam tylko, że jest to jedna z możliwości.

- A jakie widzisz jeszcze?

- Możesz porozmawiać z Dennisem.

- Oszalałaś?! To byłoby nieuczciwe wobec Sharon.

- Nie złość się tak na mnie. Próbuję ci wyliczyć różne możliwości, nie oceniając, która jest lepsza, a która gorsza.

- Ta w każdym razie odpada - powiedziałam bez namysłu.

- Możesz jeszcze - ciągnęła mama - spróbować ograniczyć spotkania z Sharon i Dennisem, przynajmniej dopóty, dopóki będziesz w stanie zapanować nad swoimi uczuciami.

- Myślałam o tym - przyznałam.

Po każdym spotkaniu z nimi, kiedy czułam, że Dennis fascynuje mnie coraz bardziej,

obiecowałam sobie, że następnym razem, kiedy zaproponują mi wspólne spędzenie czasu, wykręcę się pod byle pretekstem. Ale następnego dnia myślałam już tylko o tym, żeby zobaczyć go jak najszybciej.

- I co? - spytała mama.

- Wiem, że to by było chyba najlepsze wyjście, ale trudno mi je zrealizować – wyjaśniłam dosyć oględnie, ale mamie najwyraźniej to wystarczyło.

- Rozumiem - powiedziała. - Możesz zrobić jeszcze jedno - dodała po chwili. – Zostawić wszystko tak, jak jest, tylko, na ile cię znam, nie wytrzymasz tego długo. Tych wyrzutów sumienia z powodu nielojalności wobec Sharon, lęku, że zdradzisz się gestem, słowem czy spojrzeniem, tych ukłuć zazdrości za każdym razem, kiedy zobaczysz, jak Dennis obejmie Sharon albo ją pocałuje... Nie wspomnę już o tym, że wcześniej czy później zniszczy to waszą przyjaźń, nawet jeśli ona nigdy się nie dowie, że kochasz się w jej chłopaku.

Miała rację. Na dłuższą metę nie zniosłabym tego. Wiedziałam, że tak dłużej być nie może.

Będę musiała coś z tym zrobić. I zrobię, zdecydowałam.

Ale nie jutro. Jutro pójdę jeszcze na sylwestrową imprezę do Dennisa, a potem coś postanowię.

Dziesięć! Dziewięć! W domu wypełnionym dotąd muzyką, śmiechami i innymi odgłosami zabawy, zrobiło się spokojniej. Wszyscy głośno odliczali ostatnie sekundy starego roku, wszyscy poza mną. Ja patrzyłam na Dennisa, pewna, że w takim momencie nikt tego nie zauważy. - Osiem! Siedem!

Wiedziałam, że jakkolwiek podejmę decyzję, już wkrótce nie będę miała okazji na niego patrzeć, chciałam więc korzystać, póki mogłam. - Sześć! Pięć! - zawołali wszyscy chórem.

Tylko ja milczałam... Nie, nie tylko ja; tym razem również Dennis nie otworzył ust. Obrócił nieco głowę i nasze spojrzenia się spotkały. - Cztery! Trzy!

Gdyby nie to, że słyszałam odliczanie, nigdy bym nie uwierzyła, że patrzyliśmy na siebie tylko przez dwie sekundy; wydawało mi się, że trwało to całą wieczność. - Dwa! Jeden!

Potem podniosły się okrzyki. Jakiś stojący koło mnie dryblas, na którego wcześniej nie zwróciłam uwagi, podniósł mnie, o mało nie rozgniatając, i huknął do ucha: - Szczęśliwego nowego roku!

Zanim zdążył postawić mnie na nogi, już obejmowałam się z Julią Rayan, koleżanką ze szkoły, potem z Tobym, przyjacielem Dennisa, z jeszcze jedną dziewczyną, którą znałam tylko z widzenia, wreszcie z Sharon.

Słuchałam życzeń i sama je składałam, lecz myślałam tylko o jednym, o tym, że Dennis w czasie tych ostatnich dwóch sekund starego roku zobaczył w moich oczach to, co tak starałam się ukryć.

- Szczęśliwego nowego roku, Amy - usłyszałam nagle nad głową ten głos, którego nie mogłam pomylić z żadnym innym.

- Tobie również - powiedziałam, odwracając się do niego powoli.

Uścisnęliśmy się, tak jak robili to wszyscy wokół nas, ale nikt oprócz mnie nie czuł przy tym takiego dławienia w gardle. No chyba, że poza mną była tam jeszcze jakaś inna dziewczyna, która kochała się w chłopaku swojej przyjaciółki. - I żeby ci się spełniły wszystkie marzenia - dodał Dennis.

Powinno być potraktować to jak banalny zwrot wykorzystywany przy składaniu życzeń i rzucić „dzięki”, „nawzajem” albo coś w tym stylu. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło, że tego nie zrobiłam.

- Wszystkie nie mogą mi się spełnić.

- Dlaczego?

- Bo są takie marzenia, które nie spełniają się nigdy.

- Nawet jak się tego bardzo, bardzo chce? - zapytał.

Powinłam zamilknąć. I tak powiedziałam już za dużo, a tymczasem pograżałam się z każdym kolejnym słowem.

- Można o czymś marzyć i wcale nie chcieć, żeby to się spełniło.

Nie wiem, jak skończyłaby się ta rozmowa, gdyby nie pojawiło się dwóch kolegów Dennisa, którzy przyszli dopiero teraz z jakiejś innej imprezy i zaczęli się z nim witać.

Zła na siebie, że powiedziałam o wiele za dużo, wycofałam się. Dryblas, ten sam, który o mało mnie nie rozgniół, chciał pociągnąć mnie do tańca, ale pokręciłam głową i obiecałam, że potem z nim zatańczę.

Chcąc trochę ochłonać, poszłam do kuchni.

Spłoszyłam jakąś całującą się parę.

- Przepraszam. Nie przeszkadzajcie sobie - powiedziałam. Zamierzałam się cofnąć, ale oni byli szybsi i po chwili już ich nie było.

W kuchni, jak to zwykle na takich imprezach bywa, panował nieprawdopodobny bałagan - wszędzie pełno porozrzucanego popcornu, chipsów, plastikowych kubków i talerzy z resztkami jedzenia, pustych butelek i puszek.

Po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć czysty kubek i butelkę z resztką coli.

Nalałam sobie i wspierałam się na parapet okna, jedyne niezaśmieczone miejsce w całej kuchni.

Był tak szeroki, że mogłam na nim siedzieć bokiem, z kolanami pod brodą.

Przez chwilę wpatrywałam się w ogród za oknem, ale niewiele widziałam. Na dworze panował mróz, więc było oszronione. Kiedy w nadziei, że dzięki temu szybciej ochłone, przytknęłam policzek do szyby, poczułam, że ktoś wszedł.

Wiedziałam, że to on, zanim go zobaczyłam, zanim usłyszałem jego głos.

- A, tu jesteś... Szukałem cię. - Stał w progu kuchni.

- Strasznie tam głośno, chciałam trochę odpocząć od hałasu. I przepraszam, że tak siedzę z nogami na parapecie, ale w tym bałaganie nie mogłam znaleźć innego miejsca. Będziemy musieli pomóc ci to posprzątać. A w ogóle to świetna impreza, naprawdę wspaniale się bawię - klepałam jak najęta, obawiając się, że kiedy tylko przestanę mówić o rzeczach zupełnie nieistotnych, zacznę o tym co ważne. - Na dworze jest straszny mróz. W ogóle nic nie widać przez te szyby... - Zaczynało mi brakować pomysłów. - O leci Ups, I Did it Again. Chyba pójde potańczyć. - Spuściłam jedną nogę z parapetu.

- Mówiłaś kiedyś chyba, że nie lubisz Britney Spears? - Dennis w trakcie mojej paplaniny przemierzył kuchnię i zatrzymał się metr ode mnie.

- To prawda, nie przepadam za nią, ale akurat to bardzo lubię. - Ze wszystkich jej piosenek ta zawsze wydawała mi się najgłupsza. - Jak to jest, kiedy ma się skończone osiemnaście lat? - paplałam dalej. - Czujesz jakąś różnicę? Moja kuzynka, która kilka miesięcy temu obchodziła osiemnaste urodziny, mówiła mi...

- Amy, zamkniesz się już wreszcie?

Nawet gdyby mi nie przerwał tego bezsensownego słowotoku, i tak kończyły mi się pomysły na to, o czym mówić dalej.

Skinęłam głową. Siedziałam, z jedną nogą na parapecie, a drugą wiszącą w powietrzu.

- Muszę z tobą porozmawiać - odezwał się cicho. - Dawno już próbowałem to zrobić, ale nie miałem odwagi.

Patrzyłam na niego i wciąż jeszcze wierzyłam, że to nie to, o czym myślę. Może miał jakiś problem z Sharon i chciał się mnie poradzić, może nie wiedział, co jej kupić na siedemnaste urodziny, które obchodziła za miesiąc. Może... Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Zresztą i tak w głębi duszy wiedziałam, że ta rozmowa będzie dotyczyła mnie i jego.

- Nie wiem, jak zacząć - powiedział.

Nagle obleciał mnie strach; uświadomiłam sobie, że niezależnie od tego, co miał mi powiedzieć, nie chcę tego teraz słyszeć.

- Czy to jest coś takiego, o czym musimy rozmawiać dzisiaj? Nie możesz tego odłożyć? - Siłłam się na lekki ton, ale czułam, że nic z tego nie wychodzi. - Nie szkoda Ci imprezy?

Spuściłam drugą nogę i zamierzałam zeskoczyć z parapetu. Lecz przytrzymał mnie za ramię.

- Nie, nie mogę tego dłużej odkładać. Amy, dlaczego właściwie rozstałaś się ze swoim chłopakiem?

Tego pytania zupełnie się nie spodziewałam i wpadłam w panikę.

- Dennis, właśnie odbywa się impreza z okazji twoich osiemnastych urodzin i na dodatek jest sylwester, a ty chcesz rozmawiać ze mną o moim byłym chłopaku?

Skinął głową.

Przypuszczałam, że nie popuści, dopóki się nie dowie, odpowiedziałam mu więc zgodnie prawdą.

- Bo go nie kochałam.

- A wcześniej?

- Co wcześniej?

- Przestałaś go kochać tak nagle?

- Nie, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, to nigdy nie byłam w nim zakochana.

- Mimo to spotykałaś się z nim przez kilka miesięcy... Czułam się przyparta do muru.

- Dennis, co to właściwie jest? Jakieś przesłuchanie?

- Nie. Przepraszam, jeśli to tak zabrzmiało. Wiem, że nie powinienem Cię tak naciskać, ale muszę to wiedzieć. To jest dla mnie bardzo ważne.

- Dlaczego?

Milczał.

- Dlaczego? - powtórzyłam. - Dlaczego to jest dla Ciebie takie ważne?

- Bo jestem w tobie zakochany - odparł po prostu.

Znów spróbowałam zeskoczyć z parapetu, ale tym razem przytrzymał mnie za oba ramiona.

- Dennis, nie powinniśmy w ogóle o tym rozmawiać.

- Wiem, że nie powinniśmy, ale zrozumiem, Amy, ja muszę.

Powiedział to z taką siłą, że przestałam się wyrywać.

- Jesteś chłopakiem mojej najlepszej przyjaciółki. - Nawet nie starałam się wykrzesać z siebie choćby krzty oburzenia; byłam przecież ostatnią osobą, która miałaby prawo się oburzać.

- Myślisz, że nie czuję się przez to podle? Sharon to świetna dziewczyna, naprawdę bardzo ją lubię...

- Lubisz? - przerwałam mu.

Opuścił głowę.

- Ty też spotykałaś się ze swoim chłopakiem, chociaż nie byłaś w nim zakochana – powiedział po chwili.

Nie mogłam zaprzeczyć.

- Podobała mi się - ciągnął - lubiłem ją... nadal ją lubię, ale to nie jest ta dziewczyna... ta jedyna.

Przeszył mnie dreszcz, kiedy uświadomiłam sobie, że to samo powiedziałam Pitowi, gdy się z nim rozstawałam. Ucieszyłam się, że mam zasłoniętą twarz i Dennis nie może jej widzieć.

- To zaczęło się tego dnia, kiedy twoja siostra miała wypadek Ty zasnąłaś, a ja siedziałem jeszcze przez jakiś czas przy tobie i nagle poczułem coś, czego nie czułem jeszcze

przy żadnej dziewczynie. Wydałaś mi się taka mała, biedna, bezbronna. Pomyślałam, że to jest pewnie związane z całym tym napięciem, nerwami... No, wiesz, to czekanie w szpitalu na jakieś informacje o Pat. Sądziłem, że na drugi dzień mi przejdzie. - Zamilkł.

Nie odzywał się tak długo, że w końcu, nie wiedząc, czy wciąż jeszcze przy mnie stoi, odsłoniłam oczy, żeby to sprawdzić.

- Nie przeszło, przeciwnie, z każdym dniem...

- Ale nie przeszkadzało ci to umawiać się dalej z Sharon, prawda? - powiedziałam, zanim sobie zdałam sprawę, że nie mam prawa mu tego zarzucać. Sama zachowywałam się nie lepiej - korzystałam z każdej okazji spędzania czasu z nią i Dennisem, chociaż wiedziałam, że w ten sposób jeszcze bardziej się pograżam w tej beznadziejnej miłości.

- Przeszkadzało mi, nawet nie wiesz jak. I powiem ci coś jeszcze, coś znacznie gorszego.

Zastanawiałem się nad tym, czy nie przestać się z nią spotykać. I wiesz dlaczego nie zdecydowałem się na to?

Pokręciłam w milczeniu głową.

- Bo bałem się, że wtedy zupełnie stracę kontakt z tobą.

- To okropne - szepnęłam. - Nie wierzę, że mogłeś tak wykorzystywać Sharon. - Przez chwilę byłam naprawdę szczerze oburzona, lecz tylko przez chwilę. Bo czyja byłam od niego lepsza?

Ani trochę.

- Masz rację, okropne. I między innym właśnie dlatego musiałem ci o tym powiedzieć. Nie chcę tego już ciągnąć. Nie mogę dłużej udawać.

- Dennis, Sharon to moja najlepsza przyjaciółka. Nie miałam lepszej i nie będę miała.

- Myślisz, że nie wiem. I dlatego to jest takie trudne.

- Więc czego ode mnie oczekujesz?

W kuchni zapanowało milczenie. Z salonu dochodziły dźwięki muzyki, śmiechy, ale ja czułam się tak, jakby tamta impreza odbywała się gdzieś daleko.

- To zależy - odezwał się wreszcie Dennis.

- Zależy? - zdziwiłam się. - Od czego?

- Widzisz, Amy, czasami przyglądałem ci się, kiedy ty nie wiedziałaś, że na ciebie patrzę, i kilka razy miałem wrażenie, że może ty też coś do mnie czujesz. Zawsze w takich chwilach powtarzałem sobie, że tylko mi się to wydaje, ponieważ bardzo chcę, żeby tak było.

Skąd ja to znałam?

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że się uśmiecham.

- Nie wiem, to pewnie nerwy - bąknęłam i na wszelki wypadek znów zakryłam twarz.

- Ale dzisiaj przed dwunastą...

Jednak dobrze zrobiłam, że się zasłoniłam.

- Amy...

Poczułam jego rękę na swoich dłoniach. Przycisnęłam je mocniej do twarzy, lecz odciągnął je.

- Popatrz mi w oczy - poprosił cicho - i powiedz, że to mi się tylko wydawało.

Mój wzrok uciekł gdzieś w bok.

- Amy...

- Nie mogę.

- Nie możesz popatrzeć mi w oczy?

- Nie, nie mogę, patrząc ci w oczy, powiedzieć, że ci się wydawało - szepnęłam.

- Amy...

Wyszarpnęłam rękę z jego dłoni i po raz kolejny zasłoniłam twarz.

Przysunął się do mnie tak blisko, że czułam na nich jego oddech.

- Dobrze - powiedziałam, podnosząc głos. - No więc już wiesz, jestem w tobie zakochana.

Tylko że...

- Amy - nie dał mi skończyć. - Musi być dla nas jakieś wyjście.

Nie słyszałam żadnych kroków, nie mogłam również nic widzieć - miałam przecież zasłonięte oczy. Musiałam poczuć czyjąś obecność.

Opuściłam rękę i zamarłam. W progu kuchni stała Sharon. Przez to idiotyczne zakrywanie twarzy nie miałam pojęcia, jak długo tam była, ale ostatnie słowa musiały słyszeć, Dennisa i moje.

- Brandon cię szuka - powiedziała zupełnie nie swoim głosem i po chwili już jej nie było.

Jezu - szepnęłam, zsuwając się z parapetu.

- Sharon! - zawołaliśmy ja i Dennis jednocześnie.

Nawet gdybyśmy pobiegli za nią od razu, i tak pewnie żadne z nas nie wiedziałyby, co powiedzieć. Staliśmy jak skamieniali.

Dennis ożył pierwszy.

- Przepraszam, Amy, nie powinienem był dzisiaj zaczynać tej rozmowy. Mogłem przewidzieć, że ona tu wejdzie. Zachowałem się jak skończony kretyn. Naprawdę cię przepraszam.

- To nie mnie musisz przepraszać. I to nie tylko ty jesteś winien. - Złapałam się za głowę. - Jezu, Dennis, czy ty sobie zdajesz sprawę, co się stało?

- Pójdę z nią porozmawiać - powiedział i ruszył w stronę drzwi.

- Nie - zaprotestowałam, podążając za nim. - To ja powinnam.

Zatrzymał się i zastanowił.

- Chyba jednak będzie lepiej, jeśli ja pierwszy...

- Dennis, to moja przyjaciółka.

Jeszcze się sprzeczałyśmy, które z nas będzie z nią rozmawiać, kiedy wchodząc do przedpokoju, zobaczyliśmy, jak Sharon wyciąga swoją kurtkę z samego spodu sterty ubrań i nawet jej nie wkładając, wypada z domu.

Chwilę stałam, nie wiedząc, co robić, a potem rzuciłam się za nią.

Kiedy Dennis wybiegł za mną przed dom, właśnie zapalała silnik.

- Musimy pojechać za nią - zdecydowałam natychmiast.

- Amy, to chyba nie ma sensu.

- Nie mów mi, co ma sens, a co nie! - krzyknęłam. - Po tym, co zrobiłam, chciałabym przynajmniej wiedzieć, czy dojechała do domu cała. Widziałeś, jak szybko ruszała?

Skinął głową.

- Zaczekaj chwilę - powiedział i zniknął w domu.

Wrócił z kluczami do samochodu i z moją kurtką. Wsadziłam ręce do prawej kieszeni i dopiero kiedy poczułam klucze z breloczkiem z króliczej łapki, uwierzyłam, że jest naprawdę moja. Nie mogłam się nadziwić, że ją znalazł. Tej zimy większość dziewcząt nosiła podobne puchowe kurtki - czarne, lekko błyszczące, sięgające kawałeczek poniżej pasa - więc nawet ja miałabym problemy z rozpoznaniem jej.

- Wsiadaj - powiedział, otwierając samochód po stronie pasażera.

- Nie wiem, czy uda mi się ją dogonić - zastrzegł się, zanim ruszyliśmy.

- Rozumiem - powiedziałam, ale nie minęła nawet minuta, kiedy zapytałam: - Nie możesz jechać trochę szybciej.

- Amy, jest mróz, droga jest śliska. Poza tym to sylwester, wiesz, jak ludzie wtedy jeżdżą?

- Wiem i właśnie dlatego tak się o nią boję.

Jakby na potwierdzenie jego słów, jadący przed nami samochód nie zatrzymał się na czerwonym świetle.

Mijaliśmy różne wozy, ale żaden z nich nie był małą srebrną hondą, którą moja przyjaciółka czasami pożyczała od swojej matki. Mimo to warto było jechać - gdy dotarliśmy pod dom Sharon, zobaczyłam jej samochód zaparkowany na podjeździe.

- Bogu dzięki - powiedziałam, oddychając z ulgą.

- Myślisz, że powinniśmy do niej teraz pójść? - zapytał.

- Sama nie wiem, co robić. - Spojrzałam na dom; wszędzie było ciemno. Pokój Sharon wychodził na ogród z tyłu, nie widziałam więc jej okien. - Jest pierwsza w nocy. Jeśli zadzwonimy do drzwi, postawimy na nogi całą jej rodzinę. - Zamilkłam na chwilę, a potem dodałam: - I tak naprawdę to nie wiem, co bym jej mogła dzisiaj powiedzieć.

Dennis skinął głową na znak, że rozumie.

Staliśmy jeszcze przez jakiś czas, patrząc, czy w którymś oknie nie zapali się światło, ale dom Sharon sprawiał wrażenie, jakby panowała w nim zupełna pustka.

Taką samą pustkę czułam w sobie.

- Chyba powinieneś wracać do gości - powiedziałam.

Włączył silnik, ale minęła jeszcze długa chwila, zanim ruszył.

Sharon i ja mieszkaliśmy blisko siebie. Dwie minuty później podjeżdżaliśmy do skrzyżowania z moją ulicą.

- Dennis, skręć w prawo - poprosiłam.

- Chcesz, żebym cię zawiózł do domu? - spytał zaskoczony.

- Nie wyobrażam sobie, żebym po tym, co się stało, mogła wrócić na imprezę i się bawić.

- Ale moglibyśmy wspólnie zastanowić się, co robić.

- Dziś i tak nic mądrego już nie wymyślimy. Wiem, że miałam zostać z Sharon i pomóc ci posprzątać po imprezie, ale znajdziesz na pewno paru innych chętnych.

- Tym się nie przejmuj, ale może jednak...

- Skręć w prawo, proszę.

- Dobrze, jeśli tak chcesz - powiedział i już po chwili byliśmy pod moim domem.

Nie wysiadłam od razu; siedziałam, przygryzając kciuk. Dawno tego nie robiłam. Ja i Sharon miałyśmy swoje przyzwyczajenia. Kiedy byłyśmy zdenerwowane, ja gryzłam prawy kciuk, a ona zjadała ohydne twarde herbatniki, które zawsze ze sobą nosiła. Ja nie znosiłam tego jej nawyku, ona mojego i pilnowałyśmy się nawzajem, próbując je wytepić.

- Wyobrazasz sobie gorsze rozpoczęcie nowego roku? - spytałam, chowając dłonie do kieszeni, ponieważ pogryzłam się już prawie do krwi.

- Pewnie gdybym bardzo wysilił wyobraźnię, coś bym wymyślił. Ale masz rację, zaczął się koszmarnie. Amy, przepraszam cię... Nie za to, co ci powiedziałem, tylko za to, że wybrałem taki moment. To wszystko moja wina.

- Nieprawda. Jestem tak samo winna jak ty albo bardziej. To ja zawiodłam Sharon. Nie obraż się, ale coś ci powiem. Myślę, że moja zdrada jest dla niej o wiele bardziej bolesna niż twoja.

Ty spotykałeś się z nią od paru miesięcy, ja przyjaźnię się z nią od lat. Nie jesteś pierwszym chłopakiem, który mając dziewczynę, ogląda się za inną, ale przyjaciółki, prawdziwe przyjaciółki, nie robią sobie takich rzeczy.

- Amy, to nie tak. Po pierwsze nie oglądałem się za inną... to znaczy oglądałem się za tobą, tylko...

- Tak, wiem, co chcesz powiedzieć - weszłam mu w słowo. - Że do dzisiaj nie zrobiłeś nic, co można by było uznać za nielojalność wobec Sharon.

- Właśnie. I ty też nie zrobiłaś nic takiego.

- Nieważne, co zrobiłam, ważne jest to, co stało się dzisiaj i to co ona usłyszała. Nie wiem, jak długo stała tam, na progu kuchni, ale na pewno przyszła, zanim powiedziałam, że jestem w tobie zakochana.

- Porozmawiam z nią i powiem, że to ja zacząłem tę rozmowę.

- Nie, Dennis, sama muszę to zrobić. Ty, oczywiście, też możesz, nie mam prawa ci tego zabraniać, ale to ja powinnam jej wszystko wyjaśnić. Jeśli w ogóle będzie chciała ze mną rozmawiać... Położyłam rękę na klamce.

- Chciałabym ci powiedzieć, że dziękuję za zaproszenie i że impreza była fantastyczna, ale...

- Prawą dłoń trzymałam na klamce, a na lewej poczułam rękę Dennisa. Zrobiło mi się przyjemnie ciepło koło serca, lecz niemal w tym samym momencie zmroziła mnie myśl, że to podłość odczuwać przyjemność po tym wszystkim.

- Dobranoc i dzięki za podwiezienie - rzuciłam, po czym wrywając rękę z jego dłoni, wyskoczyłam z samochodu.

- Zadzwoń do ciebie dzisiaj! - zawołał, kiedy byłam w połowie drogi do domu.

Nie chciała ze mną rozmawiać. Kiedy zadzwoniłam po raz pierwszy, o jedenastej, odebrała jej mama i powiedziała, że Sharon jeszcze śpi. . Kilka minut przed dwunastą jej tata poinformował mnie, że wciąż nie wstała z łóżka.

Koło dwunastej słuchawkę znów podniosła matka i dowiedziałam się, że Sharon właśnie jest w łazience.

O pierwszej - bo od tej pory dzwoniłam już o pełnych godzinach - usłyszałam jej brata, Ricka, który poinformował mnie, że siostry nie ma w domu. Nie miał pojęcia, dokąd poszła i kiedy wróci, co wcale mnie nie zdziwiło, ponieważ Rick nigdy niczego nie wiedział. O drugiej rozmawiałam z jej ojcem. Udało mi się dowiedzieć, że poszła do kina i gdzieś jeszcze - nie wiedział gdzie dokładnie - i tak jak jego syn nie mógł mi powiedzieć, kiedy Sharon będzie z powrotem.

Potem słuchawkę podnosił już tylko Rick i mówił mi to samo co za pierwszym razem, z tą tylko różnicą, że wyraźnie się jąkał.

Kłamie, przyszło mi do głowy. O ile o trzeciej nie byłam tego pewna, to o czwartej moje wątpliwości zdecydowanie zmalowały, a o piątej nie miałam ich wcale. Już sam fakt, że Rick, który odrywał się od komputera tylko wtedy, gdy musiał, dzisiaj robił to tak często, powinien mi się wydać dziwny. Był jedyny sposób, w jaki Sharon mogła go do tego skłonić - przekupstwo - i przypuszczałam, że namówienie brata, by tyle razy rozstał się ze swoją myszą, musiało ją drogo kosztować. Ale prawdopodobnie ani ojciec, ani matka nie zgodzili się kłamać, nie miała więc innego wyjścia.

Nie czekałam do szóstej. Kilka minut po piątej postanowiłam do niej pójść. Żałując, że nie zrobiłam tego wcześniej, zaczęłam się ubierać. Byłam już gotowa do wyjścia, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Mama była bliżej, lecz i tak dobiegłam pierwsza. Nie wiem, jak mogła się we mnie zrodzić nadzieja, że ktoś, kto przez cały dzień unika odbierania moich telefonów, nagle zapragnie ze mną rozmawiać, lecz podnosząc słuchawkę, wierzyłam, że to ona. - Cześć, Amy. - To był Dennis.

- A, to ty... Cześć. - Musiał słyszeć rozczarowanie w moim głosie. - Zaczekaj chwilę - powiedziałam. - Przejdę do innego telefonu. Nie chcę przeszkadzać mamie.

Siedziała na kanapie w salonie i wolałam, żeby nie słyszała tej rozmowy. Wiedziała, że na imprezie coś się wydarzyło, ale nie zdradzałam jej szczegółów.

- No, już jestem - powiedziałam, podnosząc słuchawkę w swoim pokoju.

- Rozmawiałaś z Sharon? Bo ja nie mogę jej złapać.

- Nie, od jedenastej próbuję się do niej dodzwonić. Podobno nie ma jej w domu, ale ja w to nie wierzę. Właśnie się do niej wybierałam.

- Nie poczekałabyś kilka minut? Pojechalibyśmy oboje - zaproponował.

- Nie, Dennis, to nie jest dobry pomysł. Wyobrażasz sobie, jak by się poczuła, gdyby po tym, co usłyszała, zobaczyła nas razem?

- Może i masz rację. Zadzwonisz do mnie, jak od niej wrócisz?

Nie odpowiedziałam.

- Amy, zadzwonisz?

- Nie wiem, Dennis. Nie wiem, czy będę mogła. Myślałam o naszej trójce przez całą resztę nocy i przez cały dzień. Jestem gotowa na wszystko, żeby mi tylko wybaczyła. Jeśli powie, że oczekuje ode mnie, żebym już nigdy nie zamieniła z tobą słowa... - przełknęłam z trudem ślinę, bo to, co miałam powiedzieć, było zbyt bolesne - to zgodzę się na to. - Nigdy jeszcze nie byłam tak pewna swoich słów.

- To bez sensu. Cokolwiek się stanie, cokolwiek od niej usłyszysz, ja i tak nie będę się już z nią spotykał.

- A jeżeli ona ci przebaczy, jeżeli...

- Amy, przestań, kocham ciebie, nie ją. I coś ci powiem. Sharon dowiedziała się o tym w najgorszy z możliwych sposobów, ale mimo wszystko cieszę się, że nie muszę dłużej nikogo oszukiwać. I proszę cię, nie obiecuj jej, że już nigdy nie będziesz ze mną rozmawiać.

- Jeśli tylko w ten sposób będę mogła uratować naszą przyjaźń, będę musiała to zrobić.

Zrozum mnie.

Nie przekonywał mnie już dłużej. Pożegnaliśmy się, odłożyłam telefon i dopiero wtedy poczułam, że po policzkach spływają mi łzy.

Drzwi otworzył Rick. - Sharon nie ma w domu - wyjąkał przerażony. - Słuchaj, muszę z nią porozmawiać. - Ale jej naprawdę nie ma.

- Wiem, że jest - rzuciłam, próbując go wyminąć, lecz ten drobny chłopak nagle jakby urósł i zagroził mi wejście.

Pomyślałam, że jego siostra musiała się dzisiaj porządnie splukać, i zastanawiałam się przez chwilę, czy nie sięgnąć po tę samą metodę i nie zaproponować mu więcej, ale nie chciałam tracić czasu na ubijanie z nim interesu, wybrałam szybsze i bardziej skuteczne rozwiązanie.

- W takim razie trudno. Zadzwoń do niej za jakiś czas - powiedziałam.

Widziałam, jak na jego twarzy maluje się ulga. Sądził, że ma mnie już z głowy, i właśnie wtedy wykorzystałam moment jego nieuwagi, popchnęłam go i wpadłam do domu.

- Amy, ona mnie zabije! - zawołał, biegnąc za mną.

- Wezmę wszystko na siebie, przyznam się, że cię sterroryzowałam - uspokoilaam go, idąc po schodach na pierwsze piętro. - I nie martw się, na pewno dostaniesz od niej to, co ci obiecała.

Sharon to słowna dziewczyna.

- Skąd wiesz, że mi...?

Nie skończył, ponieważ zapukałam tylko raz do jej pokoju i otworzyłam drzwi.

- Mówiłem jej, że cię nie ma. Słowo honoru, że mówiłem - tłumaczył się przed siostrą Rick, stojąc za moimi plecami.

Nie przejmując się nim, zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

- To rzeczywiście nie jego wina - powiedziałam. - Bronił dostępu do domu własną pierśią. Ale jeśli kiedyś każesz mu kłamać, to poradź mu, żeby się tak nie jękał.

Zawsze zazdrościłam jej porządku w pokoju. Dzisiaj panował w nim bałagan większy niż u mnie. Ubrania, które miała na sobie u Dennisa, walały się na podłodze, razem z płytami i ich pootwieranymi opakowaniami.

Nie znałam nikogo, kto tak szanowałby swoje płyty jak ona, więc stan, w jakim się teraz znajdowały, przeraził mnie chyba bardziej niż jej widok. Siedziała na łóżku ze słuchawkami na uszach. Włosy miała rozczochrane, a na twarzy widać było ślady makijażu, który zrobiłam jej przed imprezą, ponieważ sama nigdy się nie malowała.

- Sharon... - odezwałam się cicho. Zdjęła słuchawki i popatrzyła na mnie.

- Cokolwiek chcesz powiedzieć, daruj sobie.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie ma o czym. Dowiedziałam się już wszystkiego, co powinnam wiedzieć.

- Ale muszę ci wyjaśnić kilka rzeczy.

- Nic mi nie musisz wyjaśniać. - Mówiła coraz głośniej. - Nie chcę niczego słyszeć. Idź sobie.

Rozmawiaj sobie z Dennisem, nie ze mną. - W jej wzroku było tyle żalu, że aż ścisnęło mnie w dołku. - Spotykajcie się i bądźcie ze sobą szczęśliwi, a mnie zostawcie w spokoju.

- Sharon, jeśli to mogłoby jakoś uratować naszą przyjaźń, jestem gotowa już nigdy nie zamienić z nim słowa.

Roześmiała się nerwowo, sięgnęła po garść tych swoich ohydnych twardych

herbatników i zaczęła je rozgryzać tak gwałtownie, że tym razem rzeczywiście się bałam, iż w końcu – tak jak zawsze ją uprzedzałam - połamię sobie na nich zęby.

- Przyjaźń? - prychnęła. - To była fikcja, a nie przyjaźń.

- Nieprawda.

- Nie? Chcesz mi powiedzieć, że odbijanie sobie chłopaków to między przyjaciółkami chleb powszedni?

- Sharon, nie byłam wobec ciebie lojalna, to prawda, ale nie odbijałam ci chłopaka.

- Boże, jaka ja byłam ślepa... - Uśmiechnęła się gorzko.

- Nie byłaś ślepa. Do wczoraj nie stało się nic, o czym byś nie wiedziała.

- I wczoraj ni z tego, ni z owego zakochałaś się w moim chłopaku, tak?

Jej głos ociekał jadem, ale nie miałam jej tego za złe. Cokolwiek by teraz zrobiła, zasługiwałam na to.

Idąc tu, postanowiłam, że nie będę niczego ukrywać.

- Nie, zakochałam się w nim wcześniej - powiedziałam.

- Kiedy?

- Tego dnia, kiedy Pat miała wypadek, może następnego.

- Jak mogłaś?

- Sama się nad rym zastanawiam.

- Jak mogłaś? - powtórzyła ciszej. Z jej głosu zniknął jad i sarkazm; został tylko ból.

Siedząc na swoim niepościelonym łóżku, z podpuchniętymi od łez oczami, ze śladami tuszu do rzęs na policzkach, wyglądała jak żalosna kupka nieszczęścia.

Przez cały czas stałam przy drzwiach; teraz udało mi się oderwać stopy od podłogi.

Podeszłam do łóżka, przysiadłam na brzegu i wyciągnęłam ręce, żeby ją przytulić.

Nie udało mi się nawet jej dotknąć. Cofnęła się jak poparzona i strzepnęła moje ręce ze swoich ramion.

- Nie dotykaj mnie! I idź stąd! - krzyknęła. - Nie chcę z tobą rozmawiać.

- Sharon...

- Wynoś się! Wynoś się, słyszysz?!

Podniosłam się i zaczęłam się wolno cofać.

- Nigdy więcej nie próbuj ze mną rozmawiać! - zawołała, gdy byłam już przy drzwiach. - Nigdy, słyszysz?! Nigdy.

- Sharon...

- Wynoś się!

- Nie będę już miała takiej przyjaciółki jak ty... - szepnęłam, zanim wyszłam, ale nie

wiedziała, czy mnie słyszała.

Mieszkamy niecałe pół kilometra od siebie. Droga zwykle nie zajmowała mi więcej niż pięć minut. Dziś powrót zajął mi ponad pół godziny. Potrzebowałam czasu, żeby podjąć decyzję. Wchodząc do domu, wiedziałam, co muszę zrobić.

Dennis podniósł słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał. Musiał chyba, czekając na mój telefon, trzymać na niej dłoń. Kiedy sobie to uświadomiłam, to co miałam mu powiedzieć, wydało mi się jeszcze trudniejsze.

- Jezu, jak to dobrze, że cię słyszę. - Słyszałam, jak westchnął z ulgą. - Już się bałam, że nie będziesz chciała ze mną rozmawiać.

- Dennis, dzwonię właśnie po to, żeby ci powiedzieć, że nigdy nie będziemy ze sobą rozmawiać.

Kiedy obserwowałam innych, wydawało mi się, że życie toczy się dalej. Mama - tak samo jak kiedyś - co kilka dni przychodziła do domu i wołała: „Nie zgadniecie, co kupiłam?! - po czym wyjmowała z torby jakąś kolejną cudaczną herbatę, która najczęściej lądowała na najwyższej półce w szafce. No i, oczywiście, rozmrażała. Ale tylko wtedy, gdy ojciec miał rejs. Co więcej, nie rozmrażała już rzeczy, które sama kupowała w supermarkecie, tylko to, co on wcześniej dla nas przygotował. Bo tata, jeśli chodzi o gotowanie, okazał się talentem, i nic nie wskazywało na to, by jego zapal do wyczarowywania w kuchni prawdziwych cudów miał kiedykolwiek ostygnąć.

Pat dawno już zdjęto gips. Wisiał teraz, tak jak chciała, na ścianie w jej pokoju. O jej wypadku przypominał tylko barwny chiński smok i pytania, dlaczego Dennis już do nas odwiedza, które zadawała od czasu do czasu. Unikałam odpowiedzi; nie chciałam jej okłamywać, a wiedziałam, że będzie bardzo rozczarowana, gdy dowie się, że Dennis nie przyjdzie do nas już nigdy.

Dla innych nic się nie zmieniło, ale dla mnie życie przestało mieć sens. Straciłam jedyną prawdziwą przyjaciółkę, a chłopaka, którego kochałam, mogłam tylko oglądać, kiedy mijaliśmy się na szkolnym korytarzu.

Upływały kolejne miesiące, a ja wciąż uważałam się za najniezwyklejszą dziewczynę na świecie. Nawet nadejście wiosny, która zawsze poprawiała mi humor, nie zmieniło mojego nastroju.

Cała szkoła żyła zbliżającym się balem ostatnich klas. Dziewczęta z przedostatniego rocznika patrzyły z zazdrością na starsze o rok koleżanki.

Również dla mnie ten bal był ważnym wydarzeniem. Przypominał mi o tym, że po wakacjach, kiedy Dennis pójdzie do college'u, w ogóle przestanę go widywać. I jeszcze o czymś; o tym, jak Sharon się cieszyła, że zaliczy dwa takie bale - tegoroczny, jako partnerka Dennisa, i przyszłoroczny.

I to ja pozbawiłam ją tej możliwości. Kiedy to sobie uświadomiłam, poczułam się jeszcze gorzej, jeśli można było czuć się gorzej. Ale właśnie wtedy dowiedziałam się od Shauny Washington, z którą pracowałam w redakcji szkolnej gazety, że w czasie weekendu spotkała na mieście Sharon i Mathew Louisa. Mathew był z ostatniego rocznika i pamiętałam, że wpadł w oko Sharon, zanim zaczęła się spotykać z Dennisem.

Nie musiałam Shauny specjalnie wypytywać; bez żadnych nacisków z mojej strony

powiedziała mi, że wyglądali, jakby byli na randce.

Była to pierwsza dobra wiadomość, jaką usłyszałam od sylwestra. Nie spodziewałam się wprawdzie, że to cokolwiek zmieni w moich stosunkach z Sharon i Dennisem, ale pocieszałam się, że może nie jest już tak nieszczęśliwa.

No i pojawiła się szansa, że może jednak uda jej się być na dwóch balach ostatnich roczników.

Nowinę przekazaną mi przez Saunę potwierdziło kilka innych osób, które spotkały Sharon i Mathew w różnych miejscach, a to w kinie, a to na dyskotecę, a to w pizzerii. Lucy Cohleman widziała nawet, jak się całowali, i zarzekała się, że wyglądali na bardzo zakochanych.

Dwa tygodnie przed bale było już pewne, że Sharon i Mathew idą na niego razem.

Wieczorem tego dnia, kiedy Shauna przekazała mi tę wiadomość, zadzwonił Dennis.

Wiedziałam, że powinnam natychmiast odłożyć słuchawkę, lecz nie mogłam się na to zdobyć.

Chciałam tylko przez chwilę posłuchać jego głosu, tego męskiego ciepłego, cudownego głosu, w którym teraz wyczuwało się lekkie drżenie.

- Nie powinienes do mnie dzwonić - powiedziałam.

- Amy, może jeszcze nie wiesz, ale sytuacja trochę się zmieniła.

- Domyślam się, o czym mówisz. Kilka osób mówiło mi, że Sharon spotyka się z Mathew i bardzo mnie to cieszy.

- Właśnie. Podobno idą razem na bal.

- O tym też słyszałam.

- Dlatego dzwonię - powiedział, a potem w słuchawce zapadła długa cisza. - Amy, chciałem cię zapytać, czy nie poszłabyś ze mną.

- Dennis, nie powinnam z tobą w ogóle rozmawiać, a ty mnie pytasz, czy nie poszłabym z tobą na bal... To że Sharon spotyka się z kimś, dla nas niczego nie zmienia. Wyobrażasz sobie, jak by się poczuła, gdyby zobaczyła nas razem? Wszystko by sobie przypomniała i zepsulibyśmy jej cały bal.

- Minęło kilka miesięcy, może dla niej nie jest to już takie bolesne.

- Nie sądzę. Nawet jeśli do tej pory przeboleła rozstanie z tobą, nawet jeśli jest zakochana w kimś innym, to nie zapomniła krzywdy, którą ja jej wyrządziłam.

- Amy, nie wyrządziłaś jej krzywdy.

- Owszem, byłam wobec niej nielojalna, a to największa krzywda, jaką można wyrządzić przyjaciółce.

- W porządku, może byłaś nie do końca lojalna, ale czy nie przychodzi ci do głowy, że to, co teraz robisz, nie ma sensu? Jak długo zamierzasz się karać za tamto? - zapytał.

Czekał, aż coś powiem, ale milczałam.

- Chyba... - odezwał się cicho. - Chyba że wszystko się zmieniło... Minęło kilka miesięcy, więc...

Domyślałam się, o co chce mnie zapytać. Nic się nie zmieniło; wciąż go kochałam, tylko że nie mogłam mu tego powiedzieć. Miał rację, karałam siebie. Sama wymierzyłam sobie wyrok - dożywocie bez możliwości zwolnienia za dobre sprawowanie.

- Dennis, nie dzwoń do mnie więcej - powiedziałam zdławionym głosem. - Nigdy.

Kiedy mówiliśmy sobie do widzenia, wydawało mi się, że zaakceptował moją decyzję, i przypuszczałam, że już nigdy go nie usłyszę.

Dokładnie tydzień później zadzwonił telefon.

- Amy, do ciebie! - zawołała mama, która odebrała.

- Kto to? - zwróciłam się do niej szeptem. W ciągu ostatnich miesięcy stroniłam od ludzi i rzadko ktoś do mnie dzwonił. Przemknęło mi przez głowę, że może to Dennis nie dal za wygraną i - choć wstydziłam się tego przed sobą - wcale mnie to nie zmartwiło.

Ale to nie był on. Myślałam, że padnę trupem, gdy matka odparła cicho:

- To Sharon. - Znała całą historię, wyczuła więc powagę chwili i zabierając książkę, którą czytała, wyszła z salonu.

- Musimy pogadać - zaczęła Sharon, siląc się na lekki ton, wyczuwałam jednak, ile kosztuje ją ta rozmowa. - Nie możemy tak uciekać przed sobą do końca życia.

- Sharon... - Ze wzruszenia ledwie mogłam mówić. - Jezu, jak ja się cieszę, że cię słyszę...

- Ustalmy od razu jedno - rzuciła rzeczowo. Wiedziałam, że bardzo się stara, by tak brzmieć. - Być może nic z tego nie wyjdzie. Nie mam pojęcia, czy uda nam się pozlepić naszą przyjaźń, ale jestem gotowa spróbować.

- Sharon, zrobię wszystko, co tylko...

- Mam nawet pomysł, co mogłabyś zrobić na początek - weszła mi w słowo.

- Co? Wszystko, co tylko zechcesz.

- Nie obiecuj za szybko - powstrzymała mnie. - Poczekaj, aż się dowiesz, o co chodzi.

Przerwała, a ja czekałam w napięciu, aż znowu się odezwie.

- Mathew powiedział mi... Pewnie słyszałaś, że się z nim spotykam...

- Tak, bardzo się ucieszyłam, kiedy się o tym dowiedziałam.

- No więc Mathew powiedział mi, że Dennis jest jedynym chłopakiem z ich rocznika,

który nie idzie na bal.

Wiesz coś może na ten temat?

Jeszcze wahałam się nad odpowiedzią, kiedy Sharon zadała kolejne pytanie:

- Prosił cię, żebyś z nim poszła?

Zdawałam sobie sprawę, że jeśli próba odbudowywania naszej przyjaźni ma się skończyć pomyślnie, to muszę być absolutnie szczerą.

- Dzwonił do mnie przed tygodniem i pytał, czybym z nim nie poszła.

- I co?

- Powiedziałam, że nie.

- Dlaczego?

- Sharon, wtedy w Nowy Rok, kiedy wyszłam od ciebie, postanowiłam nigdy się z nim nie spotykać.

- Ale to było pół roku temu. W tym czasie wiele się zmieniło. Ja znalazłam chłopaka, w którym jestem zakochana... Powinnaś pójść z nim na ten bal.

- Dlaczego to robisz?

- Co?

- Dlaczego chcesz, żebyś się wybrała z Dennisem na bal. Robisz to dla mnie?

- Nie, nie dla ciebie - odparła.

- To dla kogo?

- Robię to dla siebie. Nie chcę sobie kiedyś wyrzucać, że chłopak, którego kiedyś bardzo lubiłam, przeze mnie stracił coś, co ma się tylko raz w życiu. Szkołę kończy się tylko raz i ostatni szkolny bal jest tylko jeden.

EPILOG

Dennis nie stracił tego balu. Byliśmy na nim razem. Sharon towarzyszyła Mathew i cała nasza czwórka wspaniale się bawiła.

Ja i Dennis zaczęliśmy się spotykać i w czasie wakacji tłumione przez tyle miesięcy uczucie wybuchło z taką siłą, że nie wyobrażałam sobie, jak zniosę rozstanie z nim, gdy jesienią pójdzie do college'u.

Przeżyłam. Spotykaliśmy się dalej, tyle że rzadziej - tylko w czasie weekendów, kiedy przyjeżdżał do domu.

Sharon po wakacjach zaczęła się umawiać z innym chłopakiem.

Odbudowywałyśmy mozolnie, kawałek po kawałku, naszą przyjaźń i udało się. Wiedziałyśmy, że skoro przetrwała tamtą historię, przetrwa wszystko inne.

KONIEC

- Czy ona jeszcze długo będzie to czytać? - niecierpliwił się Warren. On i Sean siedzieli w pokoju swoich dziewcząt.

- Już kończy - uspokoiła go Barbara, która nie spuszczała oka z przyjaciółki i widziała, że zostały jej już tylko dwie strony.

- Co to w ogóle jest takiego, że nie mogła tego odłożyć i przeczytać po imprezie? - spytał Warren.

Barbara i Sean uśmiechnęli się do siebie.

- To najpiękniejsza historia miłosna świata - powiedział Sean tajemniczo. Objął swoją dziewczynę i wtulił nos w jej puszyste kasztanowe włosy. - Prawda? - szepnął jej do ucha. - Przecież jej nie czytałeś - przypomniała mu. - Ale wiem, o czym jest.

Barbara z wypiekami na twarzy patrzyła, jak jej przyjaciółka odkłada ostatnią stronę. - I co?

- Co? - Naomi uśmiechnęła się. - Fantastyczna.

- Naprawdę ci się podobała? I nie masz nic przeciwko temu, żeby to ukazało się w druku. Naomi udała, że się zastanawia. - No, kilka drobiazgów mi się tu nie podoba. - Które? - zapytała niepewnie Barbara. - Na przykład taki, że moje herbatniki wcale nie są ohydne. - Są obrzydliwe i zobaczysz, że kiedyś połamiesz sobie na nich zęby. Co jeszcze? - No, to z Mathew Louisem nie do końca się zgadza. - Nie rozumiem - rzuciła przejęta Barbara. - Co się nie zgadza? Naomi wymieniła konspiracyjne spojrzenia z Seanem. - Powiemy jej? Miał niepewną minę.

- No... może nas nie zabije - powiedział w końcu. Zdezorientowana Barbara patrzyła to na przyjaciółkę, to na swojego chłopaka. - Powiecie mi wreszcie, o co tu chodzi?

Naomi zerknęła na Seana, a kiedy ten skinął głową, zaczęła mówić: - Nigdy nie spotykałam się z Mathew.

- Jak to? Przecież tyle osób mi mówiło, że widziało was razem. Lucy Cohleman przyłapała was nawet, jak się całowaliście.. Byliście razem na balu. Naomi i Sean uśmiechali się tajemniczo. Barbarze zaświtała pewna myśl.

- Nie powiecie mi chyba, że to wszystko było przedstawienie?

Jej przyjaciółka i chłopak pokiwali głowami. Oboje mieli miny winowajców złapanych na gorącym uczynku.

- Jak udało wam się namówić do tego Mathew?

- O to musisz zapytać Seana - odparła Naomi. - Ale podejrzewam, że musiało go to trochę kosztować.

Barbara spojrzała na niego.

- Przekupiłeś go, żeby udawał, że się z nią spotyka?

- Och, czemu zaraz „przekupiłeś”? Zawarliśmy po prostu pewien korzystny dla obu stron układ.

- To był twój pomysł? - spytała, nie spuszczać z niego wzroku.

- Nie - odezwała się za niego Naomi. - On tylko do mnie zadzwonił jakiś miesiąc przed zakończeniem szkoły i poprosił o pomoc. Wiedziałam, że jesteście w sobie zakochani. Byłam na was jeszcze trochę wściekła, mimo to postanowiłam wam pomóc. Zdawałam sobie sprawę, że trudno będzie cię przekonać, skoro postanowiłaś nigdy więcej nie rozmawiać z Seanem. W końcu wymyśliłam, że będzie znacznie łatwiej, jeśli się dowiesz, że spotykam się z innym chłopakiem i jestem w nim zakochana.

- A ci inni - spytała Barbara Seana z niedowierzaniem. - Shauna Washington, Lucy Cohleman i te wszystkie dziewczyny, które widziały cię z Mathew? - Spojrzała na Seana. - Je też przekupiłeś?

- Nie, nimi zajęła się Naomi.

- I wcale nie musiałam ich przekupywać - pospieszyła z wyjaśnieniem. - Były zupełnie bezinteresowne. Nawet nie wiesz, ile w dzisiejszych pozbawionych romantyzmu czasach są w stanie zrobić dziewczyny dla ratowania prawdziwej miłości. Nawet wtedy, kiedy ta miłość przytrafia się komuś innemu.

- Hej! - Warren, który w czasie tej rozmowy siedział pozostawiony samemu sobie, przypomniał o swoim istnieniu. - Nie moglibyście porozmawiać w drodze?

Naomi podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Warren, przepraszam cię, skarbie. Zaraz będę gotowa. - Popatrzyła na Barbarę. - Pomożesz mi coś z tym zrobić? - Dotknęła swoich rozmazanych powiek.

- A od czego ma się przyjaciółki?

Naomi udała, że się zastanawia.

- Od tego, żeby im odbijały chłopaków? - zażartowała.

Jakie to cudowne, że potrafimy się z tego śmiać, pomyślały jednocześnie.

- O jedną za dużo! - zawołała Naomi, gdy niecały kwadrans później wchodzili do windy. Pozostała trójka popatrzyła na nią, nie wiedząc, o co chodzi.

- Tytuł - powiedziała. - „O jedną za dużo”. „Nigdy nie mów nigdy” byłoby, oczywiście, lepsze, no ale skoro ta cała Jackie Stevens ci go ukradła...